

~~20649~~
E. BELFORT BAX.

~~BIBLIOTEKA
UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO
W KRAKOWIE.~~

8676.

HISTORJA

Komuny Paryskiej

(1870 — 1871 r.)

PRZEŁOŻYŁ

A. T.



WARSZAWA

1906.

Skład główny w Księgarni Powszechnej

Marszałkowska 139.

D-133/94

8676.

Hd



139681

7630

Дозволено Цензурою.

Варшава, 19 Марта 1906 г.



WYDANO Z FUNDUSZÓW Biblioteki Narodowej

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0413073



Drukarnia A. T. Jezierskiego Warszawa, Nowy - Świat 47.

Przedmowa.

Komuna Paryska jest wydarzeniem, które partje robotnicze całego świata witają z rzadką jednością. Corocznie 18 marca na tysiącach zgromadzeń wspomina się to, niestety, zbyt krótkotrwałe zwycięstwo, odniesione przez zorganizowanych robotników nad kapitalistami i uprzywilejowanymi.

Mówią nam, że Komuna wprowadziła w życie mało przedsięwzięć o charakterze czysto socjalistycznym; że popełniła dużo błędów; że się przejmowała ideą decentralizacji. Wszystko to jest prawdą. O doniosłości Komuny w dziejach stanowią nie kroki, które ona uczyniła, ani nawet wyśmienite zarządzanie stolicą w nadzwyczaj trudnych warunkach,—lecz fakt, że Komuna stanowi niejako słup graniczny między dwoma okresami ruchu robotniczego, będąc pierwszą próbą klasy robotniczej, aby wziąć administrację w swe ręce, i mając mniej lub więcej świadomie na celu zmianę stosunków społecznych — przeistoczenie społecznego społeczeństwa w społeczeństwo socjalistyczne.

1920 W361/110

Co oznaczały z zimną krwią popełniane okrucieństwa wersalczyków? Albo to—że prasa kapitalistyczna całego świata milcząco czy jawnie pochwałała rzeź, najwstrętniejszą ze wszystkich, napotykaną w historii? Co innego zdradza to wszystko, jak rozpaczliwy opór, stawiany przez kapitalistów ruchowi, który groził ich interesom klasowym!

I.

W S T Ę P.

Zarys historyczny wydarzeń ruchu, który jest znany pod nazwą Komuny Paryskiej 1871 r., zacząć należy od ustalenia jego perspektywy historycznej.

Chodzi o to, że Komuna Paryska szczególnie zajmuje stanowisko w historii ruchu proletarjackiego. Zamyka ona pierwszy okres rozwoju współczesnego socjalizmu, okres, podczas którego były z nim jeszcze nierozłącznie związane pierwiastki poprzedzających go ruchów. Różnica pomiędzy socjalizmem a anarchizmem nie uwydatniła się jeszcze w zupełności; anarchistyczno-indywidualistyczna nauka Proudhona wciąż jeszcze miała zwolenników w szeregach partii socjalistycznej, Bakunina uważano za jeden z filarów Internacjonatu *). Dawna francuska partja republikańska, której wyrazem i płodem stała się Komuna, była nader różnobarwną mieszaniną. Oprócz wskazanych pierwiastków, istniały jeszcze przeżytki idei 48-go roku, a nawet — jakobinizmu wielkiej rewolucji francuskiej. Ten pierwszy okres rozwoju socjalizmu współczesnego wywodzi się od założenia ligi komunistów i wydania w 1847 r. przez Marxa i Engelsa „Manifestu Komunistycznego”, kończy się zaś na faktycznym upadku Internacjonatu w 1873 roku. Odegrawszy wy-

*) Internacjonal — międzynarodowe stowarzyszenie robotników, założone w 1844 r. przez Marxa i Engelsa.

bitną rolę podczas Komuny, nie dokonał potym Internacjonal nic takiego, coby zasługiwało na wspomnienie, — jakkolwiek był przedmiotem strachu dla władz na lądzie Europy. Lecz pomijając ruch socjalistyczny, należy — w celu pełniejszego zrozumienia prądów, które się złączyły w Komunie Paryskiej — określić zwłaszcza jej stosunek do ruchu rewolucyjnego 48 roku wogóle oraz do francuskich narodowych tradycji rewolucyjnych. Europejska rewolucja 48 roku zakończyła sobą burżuazyjny ruch rewolucyjny, który się zaczął w 16-ym wieku; w Anglii udało się temu ruchowi w końcu 17 stulecia zwalczyć biurokrację monarchiczną, w którą się przeistoczył średniowieczny system polityczny. Na lądzie jednak ten polityczny porządek rzeczy, opierający się na władzy panującego monarchy i jego urzędników, — do końca wieku 18-go nie był nietylko zniszczony, ale nawet choć trochę zadrażniony. W ogólnej reakcji, która nastąpiła po rewolucji francuskiej, ożył on na czas pewien z nieznanymi zmianami, w r. 1830 — 32 spotkały go znowu częściowo wstrząśnienia, lecz od tego czasu niepokonana fala zmocnienia burżuazji zebrała wszystkie swe siły i zmyła go zupełnie w wielkim roku rewolucyjnym. Klasy średnie opierały się na stojącym za nimi proletariatem, który się jeszcze pod względem politycznym od nich nie odłączył i stanowił niejako jądro, ciało partii postępowej, której kierownikami pragnęli zostać przywódcy klas średnich.

Jedną z szczególnie charakterystycznych cech ruchu 48 roku był „patriotyzm”, przez który rozumiało się zjednoczenie narodowe, centralizację, która stała się prawie manją („zjednoczone Niemcy”, „zjednoczone Włochy”, „niepodległe Węgry” i t. d.). Od tego czasu weszło w życie wiele marzeń patriotycznych o zjednoczeniu, niepodległości i t. d., na które stracono tyle pięknych frazesów retorycznych i zapotrzebowano tyle atramentu. Wszystkie te dążenia stały się teraz rzeczywistością. Ale cóż w końcu dał ów centralizujący biurokratyzm, w imię którego działacze 48 roku wygłaszali mowy, walczyli, oburzali się i łzy przelewali, jako za ostateczny cel dążeń ludzkich. Wszystkie te „zjednoczone” narodowości jęczą

obecnie pod jarzmem zjednoczonych i niezależnych wojskowych i administracyjnych budżetów swych ojczyzn umiłowanych. Można koniec-konców dojść do wniosku, że jeśli już narazić swą skórę w jakimś przedsięwzięciu rewolucyjnym, to zachować ją wypada do czegoś godniejszego, niż nikłe rezultaty, dla których ucierpiało tylu działaczy 48 roku.

W r. 1848 został założony współczesny konstytucyjny fundament Europy, a od tego czasu stawały się ruchy „postępowe” klasy średniej coraz bardziej umiarkowane — w stosunku do tego, jak ona sama stawiała się panującą pod względem politycznym. Od 48 roku ustały nawet zaburzenia rewolucyjne drobniomieszczactwa, główny bowiem cel jego został dopięty, do innych zaś swych celów dążyła klasa średnia — z bardzo niewielu wyjątkami — na pokojowej drodze konstytucyjnej.

Słowem, od r. 1848 burżuazja, która oddawna już panowała w dziedzinie ekonomicznej, ostatecznie dopięła swego wyzwolenia politycznego. Niemniej jednak, jakkolwiek rewolucja 48 roku miała charakter burżuazyjny, upamiętniła się ona przez pierwsze wystąpienie proletariatu w świadomej opozycji do burżuazji; mam na myśli niemiecką ligę komunistów i powstanie paryskie w czerwcu tegoż roku. Pierwszy z tych ruchów stanowił początek socjalizmu; drugi, będąc, jakżeśmy już zaznaczyli, z istoty swej świadomym ruchem klasowym, był ze względu na swą formę i charakter ogólny raczej przeżytkiem pierwotnego powstania proletariatu paryskiego podczas wielkiej rewolucji francuskiej, aniżeli początkiem nowego ruchu wśród francuskiej klasy robotniczej, mimo, iż jego hasłem był plan Louis Blanc'a *). Istotnie, w tym czasie a nawet o kilka lat później — „socjalizm naukowy”, jak my go obecnie rozumiemy, był faktycznie nieznanym we Francji, świetne zaś próby Proudhon'a zaledwie zbliżyły się do czegoś podobnego.

Wypada nam jeszcze powiedzieć słów parę o tra-

*) Główne dzieło Louis Blanc'a — „Plan socjalistycznego ustroju społecznego”.

dycjach rewolucyjnych we Francji. Pośród klasy robotniczej wielkich miast—głównie Paryża, ale też Lugdunu, Marsylii i in.—ciągle jeszcze żyły wspomnienia o potędze i znaczeniu młodego proletariatu francuskiego w okresie wielkiej rewolucji od 1792 do 1794 r. i od czasu do czasu znajdowały swój wyraz w powstaniach, napozór pozabawionych określonego celu,—a następnie znikwały na czas pewien, lecz nie ostatecznie. Partja narodowa, będąca ucieleśnieniem tych tradycji i przyjmująca również nowe idee socjalistyczne, w miarę jak te powstawały,—ustaliła się ostatecznie w 48 roku i zastąpiła potem pod nazwą czerwonej partji republikańskiej. Miano to otrzymała ona z przyczyny, iż w czasie powstania czerwcowego powstańcy przyjęli czerwoną chorągiew za swe godło (sądzę, że na propozycję Louis Blanc'a—gdy na porządek dzienny wszedł system warsztatów narodowych), a wszędzie spotykały ją radosne okrzyki, jako sztandar uświadomionego proletariatu i republikanizmu socjalistycznego — w przeciwstawieniu do sztandaru trójkolorowego, godła burżuazyjnego i politycznego republikanizmu. Taki jest rodowód czerwonej chorągwi, która się obecnie stała na całym świecie uznanym sztandarem społecznego ruchu socjalistycznego.

Prócz czynnej czerwonej partji republikańskiej oraz jej popularnych wodzów, we Francji nigdy nie brak było ludzi, którzy poświęcali swe życie studjom nad historją wielkiej rewolucji. Ludzi ci wyobrażali sobie naturalnie, iż wszelka rewolucja musi się odbywać według jej wzoru. Ich idee wpływały na ruch ludowy i na jego wodzów, popierając i wzmacniając łatwo zrozumiałą skłonność każdego francuza do prób ożywienia oraz powtórzenia największej epoki jego historii narodowej, epoki, której rysy ogólne i wybitne nazwiska dobrze mu są znane z czasów dzieciństwa.

Poza zaznaczołnemi tutaj wpływami, działał jeszcze wpływ Internacjonau i marksystów, starannie zajmujących się propagandą pośród klasy robotniczej Paryża i posiadających w epoce, o której mowa, pewną już wziętość.

Z tej-to mieszaniny tendencji i idei (proudhonizmu, nowojakobińskich wspomnień 48 r. wraz z świeżej daty domieszką młodego marksyzmu) utworzyła się podstawa ideologiczna zarówno wodzów, jak i szeregowych działaczy czerwonej francuskiej partji republikańskiej 1871 roku, gdy ustanowiła ona Komunę Paryską.

II.

PROLOG.

Fałszywy blask nazewnątrz i przenikająca wszystko wewnętrzna zgnilizna drugiego Cesarstwa we Francji znalazły swą Nemezę. Po klęsce pod Sedanem nastąpiła rewolucya 4 września, która zadała Cesarstwu ostatni cios pożegnalny i, przynajmniej czasowo, ustanowiła rzeczpospolitą. Niemcy niezwłocznie wyruszyli na Paryż, nieudolny zaś i zdradziecki (z punktu widzenia swych pełnomocnictw) „rząd obrony narodowej,” który dopiero co został wybrany, począł z generałem Trochu na czele, organizować obronę i opór względem nieprzyjaciela. Członkowie rządu nie wierzyli w możliwość obrony stolicy i nie mieli nic przeciw poddaniu się, lecz robotnicy i znaczna część drobniomieszczanstwa chcieli za jakąbądź cenę walczyć do ostatniej kropli krwi. Co się tyczy tego punktu, trudno współczuć z jedną lub drugą stroną. Dla mnie osobiście jest zupełnie niezrozumiałym entuzjazm Lissagaray'a z powodu wściekłego szowinizmu ludności paryskiej, pragnącej nieść w ofierze tysiące żywotów w nader wątpliwej próbie odparcia „les prussiens” — w celu przysporzenia blasku przyćmionej sławie wojennej „de la patrie” (ojczyzny); z drugiej strony, nie uniewinnia Trochu i jego prawych, burżuazyjnych znakomitości politycznych, którzy przyjęli nieograniczone pełnomocnictwa i nie tylko nie uczynili wszystkiego, co było można, ale jawnie prowadzili sprawę do zupełnego niepowodzenia.

20-go września osaczono Paryż, i zaczęło się 4 miesiące trwające oblężenie. Podniecenie ludu w mieście było przez cały ten czas nadzwyczaj silne. Ludność nie chciała wierzyć w możliwość zdobycia miasta, i przy każdym niepowodzeniu urządzano na ulicy demonstracje z pogrózkami pod adresem beżsilnego czasowego rządu. Dwukrotnie omal że nie odbyła się rewolucya—31 października 1870 oraz 22 stycznia 1871 r. Pytanie, jak odeprzeć wroga, pochłaniało wszystkie umysły, a wszystkie wymagania ludności paryskiej—ustanowienia komuny opierały się głównie na wspomnieniach o zdumiewających rezultatach, jakich w podobnych warunkach dopięła pierwsza komuna paryska w 1792—3 r. 31 października ratusz miejski, miejsce posiedzeń rządu, został obstąpiony przez podniecony tłum; jedna część jego domagała się założenia komitetu ocalenia publicznego, druga zaś — komuny rewolucyjnej. Gwardja narodowa odmówiła przyjsć w pomoc rządowi. Członków jego aresztowano, a słynni przywódcy ludu, Flourens i Blanqui, na kilka godzin objęli władzę. Ale niepodobna było dopiąć czegoś. Zupełna anarchja i pomieszanie języków panowały w głównych dzielnicach. Wreszcie przed wieczorem udało się reakcjonistom zebrać kilka bataljonów gwardji narodowej, oraz uwolnić i zatwierdzić w ich czynnościach członków rządu. Puścili oni w obieg nazwiska Flourens'a i Blanqui'ego, by nastraszyć bojaźliwych i burżuazję. W ten sposób, dzień zakończył się fjaskiem z rewolucyjnego punktu widzenia. Niemniej jednak, zmuszony był zmartwychwstały rząd ogłosić amnestję dla wszystkich uczestników wydarzeń; lecz potem, naruszając wszystkie zobowiązania, rozkazano aresztować Blanqui'ego, którego po oblężeniu oddano pod sąd, o parę zaś dni później aresztowano i zamknięto w więzieniu również Flourens'a. Wynik wydarzeń 31-go października był ten, iż w rękach rządu obrony narodowej władza nabrała mocy i że on, idąc za przykładem zdetronizowanego cesarza, zażądał plebiscytu od ludności paryskiej, która wypowiedziała się na jego korzyść. Potym bezużyteczne napady odbywały się w dalszym ciągu podawnemu.

Nastąpiło Boże Narodzenie, nastąpił Nowy Rok

—a obrona słabo naprzód się posuwała. Wreszcie 20 stycznia zwrócił się Trochu do burmistrzów dwudziestu okręgów miasta, oznajmiając, iż dłużej niepodobna wytrzymać oblężenia. Paryżanie-szowiniści nie posiadali się z gniewu na myśl o poddaniu się, lecz następnego dnia burmistrzów znowu zebrano i powiadomiono, że sztab jeneralny postanowił nie gotować się więcej do ataku i że, słowem, należy koniecznie natychmiast przystąpić do rokowań z nieprzyjacielem. W nocy na 21-y stycznia rząd, po długim i gorącym omówieniu stanu rzeczy, postanowił zastąpić jenerała Trochu przez jenerała Vinoy. Następnego dnia dostał się na wolność Flourens, gdyż więzienie, w którym był zamknięty, rozbił przyjaźnie dlań usposobiony bataljon gwardji narodowej. Tymczasem władze przedsiębrały wszelkie środki przeciw grożącemu im powstaniu proletarjatu. Lecz w południe 22-go w Batignolles i wszędzie rozległ się dźwięk bębnów, po południu zaś otoczyli ratusz miejski nieprzyjaźni gwardziści narodowi i rozjątrzony tłum, żądający komuny. Ratusza broniła straż, która ustąpiła przed gwardziściami; nastąpiło strzelanie z obu stron, trwające trzy kwadranse, a wynikiem tego było przeszło 30 zabitych; lecz oto nadszedł oddział żandarmów—powstańcy ustąpili i zostali rozproszeni, pozostawiając w rękach władz do 12 jeńców. O kilka dni później miasto formalnie się poddało, podpisano warunki — i 29-go stycznia powiewała już na fortach chorągiew niemiecka.

Wybory, które się zaraz potem odbyły, w celu ratyfikacji warunków zawarcia pokoju, przeprowadziły w prowincjach bardzo starannie żywiwoły reakcyjne (jakkolwiek Paryż nie przestawał być republikańskim); wynikiem tych wyborów była ogromna większość klerikalna i monarchiczna. Nie zadawalniając się spełnieniem powierzonych mu pełnomocnictw w sprawie zawarcia pokoju, to t. zw. „zgrupowanie narodowe” od razu zaczęło otwarcie robić przygotowania do obalenia rzeczypospolitej. Umowa w Bordeaux zatwierdziła zgodę pomiędzy dwiema wrogimi partjami rojalistycznymi — pod przewodnictwem dawnego ministra orleanistycznego Thiers'a, którego zgromadzenie za-

mianowało niebawem na głowę władzy wykonawczej.

Pierwszym krokiem, który należało obecnie przedsięwziąć, było — rozprawienie się z uzbrojoną ludnością, robotnikami i drobnomieszczanstwem, rozproszonymi po całym kraju w postaci oddziałów gwardji narodowej, a przede wszystkim — z najliczniejszym z nich, najbardziej stanowczym i, dzięki położeniu swemu, najwpływowszym — oddziałem paryskiej gwardji narodowej. Podczas układów w sprawie poddania się Paryża, Juljusz Favre — w interesie rządu obrony narodowej — dokonał tego, iż pozostawiono broń paryskim gwardzistom narodowym. Uczyniono to bynajmniej nie z sympatji dla nich, lecz dlatego, że rząd doskonale wiedział, iż wszelka próba rozbrojenia tej armji proletarjackiej spotka się z oporem, z którym nie potrafi dać sobie rady i który najprawdopodobniej obali go i zniweczy wszystkie jego plany, a zwłaszcza warunki poddania się, już i tak uznawane przez wszystkie klasy za dość poniżające. Z chwilą wszakże, gdy warunki pokoju ostatecznie zatwierdzono, stała się oczywistą nienawiść zgromadzenia dla republikańskiego Paryża, jakoteż jego zamiar zgnębienia wszystkich żywiołów rewolucyjnych, a przede wszystkim gwardji narodowej. Lud ze swej strony też się organizował. Od początku lutego do 18 marca miasto z ponurą stanowczością stało naprzeciw rządu i zgromadzenia narodowego, które nie zdecydowały się jeszcze na zadanie ostatecznego swego ciosu — na rozbrojenie.

III.

18-y M A R C A.

Jakśmy już rzekli w poprzednim rozdziale, za ledwie doszło do skutku w Bordeaux zgromadzenie reakcyjnych burżua i kopalnych arystokratów, które śpiesznie wybrano w początkach lutego z jedynym celem zawarcia pokoju, — zaczęło ono obrażać deputo-

wanych paryskich. Po zatwierdzeniu warunków pokoju, postanowiło ono w dalszym ciągu działać w charakterze zgromadzenia prawodawczego, niezależnie od ograniczonej udzielonych mu pełnomocnictw. Ale nie było to jeszcze wszystko. Zniewagi, wyrządzane przez nie Paryżowi, dosięgły swego zenitu w rezolucji zgromadzenia, by Paryż pozbawić roli stolicy i wraz z rządem przenieść się do Wersalu. Było to uwieńczeniem wszystkiego innego. Potwierdzały się również pogłoski o zamierzonym wkrótce zaprzestaniu wydawania robotnikom pensji, którą otrzymywali oni w charakterze gwardzistów narodowych, a która stanowiła największe źródło ich utrzymania; dalej — o blizkim rozbrojeniu i o niezwłocznym ściąganiu z nich wszelkich zaległości oraz odroczonej opłaty za mieszkanie, które wstrzymano na czas oblężenia.

W ciągu lutego Internacjonal oraz inne związki robotnicze i rewolucyjne działały bez odpoczynku; oburzenie zaś drobnej burżuazji na sprawowanie się rządu obrony narodowej i rozdrażnienie jej z powodu odnoszenia się nowego zgromadzenia do Paryża i rzeczypospolitej — skłaniały ją do biernego, jeśli nie czynnego, współdziałania w ruchu ludowym. Urządzano różne masowe mityngi, utworzono komitety i ostatecznie założono komitet gwardji narodowej, do którego wybrano po trzech członków od każdego okręgu. Istniało również kilka podkomitetów, z których najważniejszym był montmartrski, obradujący przy ulicy des Rosiers i często mylnie brany za komitet centralny. Komitet centralny składał się z ludzi, do tej pory zgola nieznanymi w życiu publicznym, którzy jednak zostali wybrani przez swych towarzyszy okręgowych — za prawość swą i uzdolnienie praktyczne.

Zawieszenie przez jenerała Vinoy rewolucyjnych gazet republikańskich oraz zdradzieckie skazanie na śmierć Flourens'a i Blanqui'ego za ich udział w wydarzeniach 31 października — czyny, których się dopuszczono 11 marca, tego samego dnia, gdy stało się wiadome postanowienie zgromadzenia co do uczynienia Wersalu stolicą, — bardziej jeszcze rozjątrzyły lud i umocniły go w postanowieniu, by za jakąbądź cenę stanąć oporem. Od tej chwili aż do 18 marca burza

z minuty na minutę zaczęła się zbliżać; lecz komitet centralny, popierany przez Internacjonal i organizacje robotnicze, oświadczył, iż początek nieprzyjaznych działań należeć musi do strony przeciwnej.

W tym czasie—biorąca udział w ruchu ludność paryska składała się z trzech jasno zarysowanych żywiołów: 1) patryjotów, pragnących widzieć Paryż—mającym jak dawniej przewagę we Francji; żywioł ten opierał się na radzie municypalnej, cieszącej się szerokim wpływem miejscowym; 2) oddanych republice, pragnących ją, jako taką, ustrzec przed jawnym spiskiem monarchicznym, knutym przeciw niej; 3) określonego żywiołu socjalistyczno-rewolucyjnego, którego wyrazicielem był głównie, jeśli nie wyłącznie, Internacjonal. Drobna burżuazja — co jest całkiem zrozumiałe—kierowała się pierwszymi dwiema pobudkami; jak zobaczymy dalej, w miarę biegu rewolucji, jej cel socjalistyczny coraz-to bardziej występował na pierwszy plan, aż po upływie 2—3 tygodni ogarnął cały ruch. Okoliczność tę niezbędnie trzeba zaznaczyć, istnieją bowiem sofiści gatunku „Fabjańskiego”, usiłujący—w celu zaćmienia socjalistycznego charakteru Komuny—przesadzić znaczenie pierwszych dwóch elementów, które grały pewną rolę w czasie jej powstawania. Panowie ci należą do tegoż typu amatorów nowości, którzy oświecają społeczeństwo co do istotnego znaczenia socjalizmu, tłumacząc, iż sprowadza się on w istocie swej jedynie do zaprowadzenia takich urzędzeń, jak np. główna instytucja pocztowa — tylko w większych rozmiarach!

Thiers i ministrowie jego, członkowie rządu obrony narodowej, przybyli do Paryża 15-go marca i natychmiast rozpoczęli kroki, zmierzające do rozbrojenia ludowych sił w stolicy. W planie swym liczyli oni w wielkim stopniu na łatwowierność albo głupotę paryżan. Rząd miał do swego rozporządzenia conajwyżej 25 tysięcy dość zdemoralizowanego i niepewnego wojska, gdy tymczasem gwardja narodowa liczyła do 100 tysięcy osób; a jakkolwiek można było mieć nadzieję ściągnięcia na stronę rządu kilku bataljonów, stanowiący one przecież zbyt nieznaczną wielkość w porównaniu z gwardją, wierną komitetowi centralnemu.

W takich-to trudnych warunkach Thiers—jak utrzymują, pod presją znacznych giełdziarzy—postanowił rozpocząć czynności. Przedewszystkiem należało owdładnąć armatami; to też 17 marca wydano tajne rozporządzenie oddalenia 250 armat z Montmartru. Wykonały to 18 marca o trzeciej godzinie nad ranem 2—3 brygady regularnej armii prawie bez wszelkiego oporu ze strony ludu.

Ale choć owdładnięto armatami, póki lud spał, rząd okazał się fatalnie nieogłędnym, zapominając przygotować środki, niezbędne do ich przewiezienia, a tymczasem Montmartre się obudził i od razu zrozumiał stan rzeczy. Na murach pojawił się plakat z wieloznacznym i złowieszczym wyrazem „porządek”, który, jak wiadomo, prawie zawsze zwiastuje przelew krwi. Najpierw, jak utrzymują, ruszyły się kobiety; obstały one działa i zwróciły się z upomnieniami do żołnierzy, którzy zaczęli się byli wahać. Tymczasem w całej dzielnicy zaczęto bić w bębny, a ze wszystkich stron zbiegali się gwardziści narodowi. Przyłączyli się do nich pozostali w tyle z „regularnych”, i cała ta masa doszła do Montmartru, strzeżonego przez brygadę generała Lecomte'a. Część jego przedniego oddziału gotowa była przyłączyć się do gwardzistów narodowych. Spostrzegszy to, Lecomte rozkazał ich aresztować, odzywając się do nich groźnie: „dostaniecie za swoje!” Wojska regularne i gwardziści zamienili z sobą kilka wystrzałów, nie wyrządzając szczególnej szkody, lecz w tej samej chwili zjawił się z sąsiedniej ulicy des Rosiers oddział gwardzistów narodowych z podniesionymi kolbami, otoczony przez kobiety i dzieci. Lecomte trzykrotnie dał komendę do strzelania, lecz żołnierze jego stali nieruchomo. Tłum posunął się naprzód, a szeregi jego uzupełniali żołnierze, którzy schwytyli generała i oficerów. Poprzednio zaaresztowani żołnierze chcieli natychmiast rozstrzelać Lecomte'a, lecz gwardziści narodowi obronili go, a zabrawszy go z sobą do głównego sztabu gwardji narodowej, zmusili do podpisania rozporządzenia do wojsk, aby opuściły swe pozycje.

Podobne incydenty zasły również z innymi brygadami. Powstanie prawie że nie doznawało oporu.

Żołnierze z wszystkich stron przyłączali się do ludu. O trzy godziny później, t. j. koło 11-ej rano, wszystko było zakończone, prawie wszystkie armaty zabrano z powrotem, prawie wszystkie bataljony gwardji narodowej były na nogach, wzmocnione przez znaczną liczbę regularnych żołnierzy,—słowem, plac bojowy należał do powstańców. Pomimo proklamacji i wszelkiego rodzaju perswazji, rząd nie mógł nic uczynić; po jego stronie było nie więcej, jak kilkaset osób.

Thiers, widząc, iż cały Paryż jest przeciw niemu, obstawał przy niezwłocznym opuszczeniu miasta i południowych fortów przez rząd i wojska. On sam wymknął się przez tylne drzwi z ratusza miejskiego i dostał się do Wersalu. Zauważyć należy, że powstanie było w tym czasie całkiem dobrowolnym, niewymuszonym ruchem ludowym. Komitet centralny zebrał się tego dnia stosunkowo późno. I ten to właśnie brak przygotowania i organizacji miał swoje niewygody—niezależnie od powodzenia.

O wpół do czwartej aresztowany został generał Clément-Thomas, który brał udział w wycięciu powstańców w 48 roku. Wielu chciało go obronić przed niezwłocznym straceniem, wołając: „zaczekajcie na komitet!” „urządźcie sąd wojenny!”—lecz bezskutecznie. Oparto go o mur przy ulicy des Rosiers i rozstrzelano z 20 strzelb. Jakkolwiek człowiek ten bezwątpienia zasłużył na taki los, bądź co bądź szkoda, że nie były zachowane formalności sądu. Względem ten nie da się jednak zastosować do generała Lecomte'a, schwytanego zrana na miejscu przestępstwa, gdy rozkazywał strzelać do ludu. Kiedy drzwi pokoju, w którym go zamknięto, zostały wyłamane przez rozpasany tłum, upadł on na kolana, zaczął mówić o swej rodzinie i błagać litości. A czy on sam dużo myślał o ojcach rodzin, którzy o mało nie stali się ofiarami Molocha „porządku”, gdy zrana kazał żołnierzom strzelać? Wyprowadzono go na ulicę i stracono. Gazety burżuazyjne, oczywiście, głośno ubolewały z powodu śmierci tych dwóch bandytów.

Tymczasem komitet centralny i sztab gwardji narodowej poczęły przedsiębrać kroki do zajęcia in-

stytucji rządowych oraz głównych pozycji strategicznych. Wieczorem oddalił się z Paryża w ślad za Thiers'em—Juljusz Ferry, a za nim Juljusz Favre. Późną nocą udało się generałowi Vinoy wyprowadzić swe wojska z bagażem i amunicją z koszar paryskich. Wersal był punktem zbornym. Było to pierwszym błędem Komuny, że pozwoliła pierzchnąć sobie z rąk—rządowi i wojsku. Zaszło to zaś wskutek braku dyscypliny, przygotowania i organizacji. A tymczasem nic w świecie nie mogło być łatwiejsze, gdyby tylko komitet działał szybko, gdyby zamknął wszystkie wrota, zaaresztował władze rządowe, wojskowe i cywilne, przed sądem nad niemi. Wtedy „mały człowiek”, Thiers, i wszyscy inni znaleźliby się w jego władzy. Wszystko to dowodzi, że, jakkolwiek wybuch ludowy może wywołać rewolucję, bez organizacji sprowadza ona tylko—płatanię.

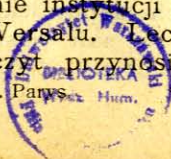
IV.

KOMITET CENTRALNY I REAKCJA.

19-go marca czerwona chorągiew powiewała już nad ratuszem miejskim i nad miejskimi gmachami publicznymi. Rewolucya tryumfowała, lecz popełniła już pierwszy błąd, pozwalając rządowi wymknąć się z resztkami armji. Komitet centralny stał na czele, był jednak oszołomiony nagłym swym wzniesieniem się do władzy nieograniczonej. Dwuch tylko jego członków zachowało dość przytomności umysłu, by zaproponować jedyny środek do poprawienia wczorajszego błędu, mianowicie—napaść na Wersal, który był w tym czasie faktycznie bezbronny, rozproszyć zgromadzenie narodowe i zaaresztować wodzów reakcji. Wszakże inni członkowie chcieli stać na gruncie legalnym. Tymczasem odbywały się w dalszym ciągu uprzątanie instytucji rządowych i przesiedlenie się wojsk do Wersalu. Lecz komitet (co mu w pewnym sensie zaszczyt przyniesi) zbyt się spieszył rzec się



139681



swych pełnomocnictw i przystąpić do wyborów Komuny, ażeby mógł myśleć o zamknięciu bramy lub o czymś podobnym. W celu legalizacji stanu rzeczy i pogodzenia rewolucji z resztą Francji, postanowiono zawrzeć ugodę między paryskimi deputowanymi i burmistrzami, a łącznie z nimi chciał komitet zatwierdzić wybory.

Thiers et consortes postawili na ostatnią kartę i w ostatnim wydanym przez nich numerze „Gazety Urzędowej” oskarżali komitet o „zabójstwo” z zimną krwią generałów Lecomte’a i Clément-Thomas’a i zapytywali, czy gwardja narodowa bierze na swą odpowiedzialność te „zabójstwa.” Komitet nie zapierał się — co o nim dobrze świadczy — tych sprawiedliwych, choć nieco śpiesznych, przejawów ludowego wymiaru sprawiedliwości; ograniczył on się na zamieszczeniu w następnym numerze Gazety Urzędowej (która od tego dnia przeszła w jego ręce) uwagi, wyjaśniającej istotny jego stosunek do wydarzeń. Wezwanie rządu nie zrobiło na gwardji narodowej wielkiego wrażenia, jakkolwiek wynikiem jego było odpadnięcie od rewolucji dzielnicy Łacińskiej (studenckiej), która dotychczas brała gorący udział we wszystkich rewolucjach; w ten sposób, stał się całkiem jasny jej charakter burżuazyjny.

Przybyła do ratusza miejskiego delegacja merów, po długich debatach jednakże prawie niczego nie dopięła. Clémenceau, jej mówca, starał się skłonić komitet do zrzeczenia się swych czynności na korzyść deputowanych i merów, którzy już dołożą wszelkich wysiłków, ażeby zgromadzenie uczyniło zadość wymaganiom Paryża. Jeden z członków komitetu, Varlin, wytłumaczył, że teraz żąda się nie zwykłej municypalności, lecz autonomji Paryża z władzami wykonawczą i prawodawczą — że Paryż ma być połączony z pozostałą Francją wyłącznie węzłami federalizmu. Ale nawet tak dobrzy socjaliści, jak Millière i Malon, powątpiewali o celowości inicjatywy komitetu. Wreszcie postanowiono, że komitet swoją drogą pošle 4 delegowanych do radykalnych deputowanych i merów, którzy się zgromadzili w sali posiedzeń 2-go okręgu. Tak też uczyniono; lecz po długich sporach,

podczas których Louis Blanc, Clémenceau i inni radykali nie wstydzieli się traktować komitetu, jako buntowników, zrzekając się prowadzenia z nim układów, jak z równym sobie, — uгода nie nastąpiła, i delegaci komitetowi odeszli z niczym. Następnego rana merowie podjęli ostatnią próbę, by wziąć w swe ręce gmach ratusza miejskiego i wysłali jednego z swych członków do komitetu z prośbą o wydanie tego gmachu. Komitet odmówił ustąpienia z ratusza oraz złożenia swych obowiązków, dopóki nie zostanie wybrana Komuna, i wydał natychmiast proklamację, naznaczającą wybory na przyszły czwartek, 22-go. Nazbyt już było oczywiste, że ustąpienie delegatom równało się oddaniu siebie do zupełnego rozporządzenia Thiers’a i zgromadzenia narodowego.

Następnym zadaniem komitetu była reorganizacja instytucji publicznych, które rząd doprowadził do możliwie największego nieładu przed swym odejściem do Wersalu. Rząd liczył na to, że w ten sposób uniemożliwi swym następcom zarządzanie wielkim miastem. Ale nowicjusze z zapalem zabrali się do roboty i pokonali wszystkie tego rodzaju przeszkody. Tymczasem komitet, nie rozumiejąc tego, że ma przed sobą walkę nie na życie, lecz na śmierć, popełnił jeszcze jeden błąd wojenny, który faktycznie zadecydował o losie rewolucji. Między Paryżem a Wersalem, na wzgórzu trochę na prawo, leży największy i najważniejszy pod względem strategicznym fort Mont Valérien. Z rozkazu Thiers’a został on opuszczony w czasie jego ucieczki; jako nie wojskowy, nie sądził Thiers, że warto ten fort zatrzymać. A tymczasem był on kluczem do wszystkich pozycji. W ciągu 36 godzin fort pozostał próżny, komitet zaś, miast umieścić tam niezwłocznie silną załogę, poczytywał to za sprawę drugorzędnej wartości i zadowolnił się nieokreślonymi (jak dowiodły wydarzenia) fałszywymi zapewnieniami, że został zajęty przez napoły obłąkanego oficera Lullier, który, dzięki swemu chełpliwemu zuchwałstwu, został czasowym dowódcą wszystkich fortów. Natomiast wersalski sztab wojenny okazał się przekorniejszym i skłonił Thiers’a do rozkazu zajęcia Mont Valérien, tak iż 20-go zrana fort ten był

już dobrze wzmocniony i znajdował się w rękach 1000 żołnierzy wersalskich.

21-go komitet centralny powstrzymał sprzedaż zastawionych majątków, zabronił właścicielom domów przesiedlać lokatorów aż do dalszych rozporządzeń oraz przedłużył prawa o poręce na miesiąc. Tego samego dnia radykalni deputowani i merowie założyli protest przeciw naznaczonym na następny dzień wyborom, jako nieprawowitym, — fałszywie utrzymując, że zgromadzenie narodowe zagwarantowało zachowanie gwardji narodowej, szybkie wybory municipalne i t. d. Cała prasa oraz wszystkie „szanowane” żywioty Paryża chórem przyłączyły się do tych oskarżeń, miotanych na nieprawowitość wyborów oraz na czynności komitetu. Gromada nadętych i fircykowato odzianych awanturników poczęła na placu Giełdy wydawać okrzyki: „precz z komitetem!” „niech żyje zgromadzenie narodowe!” Nienawiść niektórych cyrkułów była tak wielka, że wypadło odłożyć wybory do następnego dnia.

Tymczasem Wersal, przybyłe tam zgromadzenie narodowe i wszyscy jego stronnicy znajdowali się w stanie poniżającej paniki. Z różnych miast departamentów przybywały wiadomości o powstaniach, każdej chwili można się było obawiać ataku bataljonów gwardji narodowej. Juljus Favre wygłosił w izbie mowę, oczerniając w wyborowych wyrażeniach powstanie i miotając pogroźki pod adresem Paryża; mowę tę przyjęła wystraszona klika reakcjonistów burzą oklasków, omal że nie rzucając się mówcy na szyję w napadzie entuzjazmu.

Nazajutrz wspomniani wyżej awanturnicy w czarnych surdutach, wraz z kilkoma dziennikarzami i z admirałem Suisset, ukrywając broń pod odzieżą, udali się na plac Vendôme, aby — pod pozorem pokojowej demonstracji — wyprzeć z tej pozycji gwardzistów narodowych. Wyśledziwszy dwóch wartowników gwardji narodowej, rzucili się na nich i o mało nie zabili. Widząc to, 200 gwardzistów zajęło natychmiast pozycję w pobliżu ulicy de la Paix. Spotkano ich dziękami okrzykami, a przed ich oczami mignęły wyjęte z lasek brzeszczoty. Bergeret, dowódca gwardzistów

narodowych, kilkakrotnie prosił zawadzaków, aby się rozeszli, lecz bez skutku. Widząc, iż gwardziści nie są skorzy do użycia siły, tamci stali się odważniejsi i, wyciągnąwszy rewolwery, zabili dwóch gwardzistów, a siedmiu zranili. Wówczas gwardziści dali salwę, po której zostało na ulicy 12 osób zabitych i mnóstwo rewolwerów, lasek z brzeszczotami i kapeluszy. Tłum rozproszył się pośród krzyków. Naturalnie prasa burżuazyjna, korzystająca z każdej sposobności, aby spotwarzyć ruch, rozdmuchała wszędzie ten incydent. Czy nie są ci dziennikarze podobni do słynnego specjalnego konstabla z Punchu, mówiącego do czartysty w ten sposób: „jeżeli ja pana zabiję, będzie to drobnotka; lecz jeśli pan mnie zabije — przysięgam na Jerzego, że będzie to zabójstwo”?

V.

WYBORY DO KOMUNY.*

Niezależnie od wzmiankowanego w poprzednim rozdziale związku burżuazji i reakcyjnych dzielnic miejskich, „porządek” nie mógł jednakże znaleźć w mieście trwałego oparcia i gruntu pod nogami. W przeciągu dwóch czy trzech dni „lojalni” gwardziści narodowi, gotowi cudów dokonać dla zgromadzenia narodowego, przepadli gdzieś bez śladu. Komitet posłał bataljony gwardji narodowej do wszystkich dzielnic reakcyjnych, i wkrótce był przywrócony w Pażyżu, jeśli nie „porządek,” to przynajmniej spokój.

O parę dni przedtem dwaj członkowie komitetu, Varlin i Jourde, otrzymali przez Rothschilda 2 miljony franków z banku francuskiego. Suma ta teraz się wyczerpała, gdyż wydana została na organizację instytucji publicznych i pensję gwardji narodowej. Komitet znowu wysłał Varlin’a i Jourde’a do banku, ale tym razem spotkano ich obelgami, i aby otrzymać pieniądze, wypadło uciec się do argumentów bardziej

namacalnych—w postaci ustawionych przed bankiem dwóch bataljonów gwardzistów narodowych. Kwestja banku była kwestją decydującą. Stosunek do niego komitetu, a o kilka dni później również samej Komuny, która szła w jego ślady, ujawniał dziecięcą niezdolność do wyzyskania sytuacji i był trzecim fatalnym błędem rewolucji. W banku było dość środków zarówno w brzęczącej monecie, jak i w papierach procentowych, aby za nie móc kupić całą armję wersalską. Prócz tego znajdowało się tam jeszcze 9000 dokumentów depozytorów, które mogłyby odegrać rolę rękojmi przyzwoitego sprawowania się rządu, jako przedstawiciela klasy średniej całej Francji. Komitet, a następnie i Komuna, miast zagarnąć bank w swe ręce, pozwolił zarządowi banku pozostać ze wszystkimi pracownikami, usuwając jedynie głównego zarządzającego, który zbiegł. I oto od czasu do czasu zjawiali się tam z kapeluszem w ręku członkowie komitetu lub Komuny, uprzejmie prosząc o potrzebne im pieniądze. Pomocnikowi zarządzającego udało się na drodze dyplomacji wysunąć pewnego starego jegomościa imieniem Beslay, który, będąc wprost radykalnym burżua, miał odwagę zostać w Paryżu; pan ten, niezależnie od swej osobistej przyzwoitości, odznaczał się wszystkimi przesadami swej klasy, gdy tylko chodziło o sprawy pieniężne. Niemniej jednak wybrano go na pośrednika między bankiem a rewolucją.

Powróćmy jednak do dni marcowych. Merowie dołożyli wszystkich swych sił, by jeszcze odłożyć na później wybory. Po dwóch odroczeniach nazaczył je wszakże komitet na niedzielę, 26-go marca. Przez ten czas, wyrządzone Paryżowi ze strony zgromadzenia zniewagi oraz zajęte przez nie stanowisko oburzyły nawet umiarkowanych republikanów, i merowie przejawili gotowość do kompromisu, proponując naznaczyć wybory na 30-go. Komitet wszakże silnie obstawał przy 26-ym, i 5 merów, w ich liczbie Clémenceau i Floquet, uważając dalszy opór za bezużyteczny, niechętnie podpisało manifest o wyborach. Pozostali merowie nie protestowali, jakkolwiek uparcie trzymali się na uboczu.

Przyłączenie się merów, jakkolwiekby ono było, nadawało wyborom charakter prawowitości.

W niedzielę przybyło 287 tysięcy osób do urn wyborczych, i Komuna Paryska została wybrana i ogłoszona ku powszechnej radości. W poniedziałek gwardja narodowa i wyborcy cywilni zgromadzili się na placu ratusza miejskiego, aby powitać nowych przedstawicieli Paryża.

Saluty armatnie, dźwięki „Marsyljanki” i pełne entuzjazmu okrzyki zlewały się w jedno. Wersalscy szpiegowie oznajmili, że cały Paryż jest zarazony rokoszem. Członkowie nowej Komuny nieskończoną ilość razy ukazywali się na balkonie ratusza w odpowiedzi na ogłuszające okrzyki, które ich wzywały. Pośród wybranych większość stanowili rewolucjoniści, a nawet socjaliści, jakkolwiek była też niewielka liczba liberalnych i radykalnych burżua; ci jednak wkrótce znaleźli wymówkę, by usunąć się ze składu Komuny, której działalnością nie mogli kierować tak, jakby się im podobało.

Na pierwszym zgromadzeniu Komuny wspomniany wyżej, w dobre chęci zasobny burżua Beslay został — wobec swego starszeństwa — wybrany na przewodniczącego i, należy mu oddać sprawiedliwość, wygłosił wcale niezłą mowę wstępną. Następnego dnia zajęła się Komuna wybraniem komitetów czyli komisji. Główna była komisja wykonawcza, w skład której weszli Lefrançais, Duval, Feliks Pyat (działacz 48 roku, zawdzięczający reputacją swą uzdolnieniu do mówienia i pisania), Bergeret, Tridon, Eudes i Vaillant (blanquista, następnie członek izby deputowanych). Inne komisje były — finansowe (członkowie Varlin i Jourde), wymiaru sprawiedliwości, bezpieczeństwa publicznego, zaopatrzenia w żywność, pracy i wymiany, polityki zagranicznej, robót publicznych i oświaty ludowej. Jedną z pierwszych czynności Komuny było zniesienie opłaty dzierżawnej od października 1870 do lipca 1871 roku. W ten sposób, wielu biedaków uwolniło się od groźących im długów, których nie zdołaliby uiścić bez doprowadzenia siebie do ruiny. Wszystko to było zupełnie na miejscu. Komuna jednakże przeoczyła spełnienie dwóch obowiązków, które wkładał

na nią stan rzeczy, mianowicie: po pierwsze, wydanie jasnego i dla wszystkich zrozumiałego manifestu z wykładem swego programu i planu działań; druga, poważniejsza jeszcze, opieszałość jej polegała na tym, że nie zawarła stosunków z prowincjami, które natchmiaszt po 18 marca ujawniły szereg sympatję do Paryża. Lugdun, Marsylja, St.-Etienne, Narbonna, Tuluza oraz inne miasta urządziły u siebie komuny, przyczym Marsylja i Narbonna — nawet z znacznym powodzeniem. Nie spotkały się jednak nietylko z poparciem ze strony głównego centrum ruchu, lecz nawet — z jakimikolwiek stosunkami. Skutkiem tego było, iż — izolowane materialnie i moralnie — komuny te niebawem zginęły marnie. Najdłużej trzymały się Marsylja i Narbonna, lecz po dwóch tygodniach ruch komunistyczny na prowincji wymarł doszczętnie. Thiers i jego wersalczy, którzy nie stracili swej przezorności, dołożyli wszystkich sił, aby sympatje prowincji odepchnąć od Paryża, i rozesłali okólnik do wszystkich prefektów, łącząc Paryż i rewolucję, opacznie tłumacząc każdy fakt oraz wynajdując wszelkiego rodzaju kłamstwa.

Wykorzeniwszy komunę na prowincji, Thiers postanowił powstrzymać dowóz żywności do Paryża i przerwać wszelką jego komunikację pocztową. Rampont, naczelnik poczty, otrzymał rozporządzenie naruszenia umowy, którą zawarł z Thiers'em, delegowanym komitetu, i zniszczyć całą organizację pocztową. Nierozważny komitet i Komuna, licząc do ostatniej chwili na to, że sprawa zakończy się pokojowo, nie przedsiębrały żadnych kroków wobec wypadków wojny. Tymczasem zgromadzenie wytrwale nad tym pracowało, by izolować Paryż i skupić swą armję, wzmocnioną przez kilka pułków uwolnionych przez Niemcy jeńców wojennych. Pod koniec marca wystąpili z Komuny wszyscy jej „umiarkowani” członkowie, z wyjątkiem starego Beslay'a. Międzynarodowy charakter ruchu został podkreślony przez jednogłośnie zatwierdzenie wyboru Frankel'a, austriaka, wybranego przez okrąg 13. Tymczasem „szanująca się” ludność, przyjaciele „porządku,” masowo przenosiła się do Wersalu.

NIUDANY DLA KOMUNY POCZĄTEK WOJNY.

1-go kwietnia Thiers w okólniku do prefektów oficjalnie ogłosił wojnę, i tego samego dnia wersalczy, nie uprzedzając o tym nikogo, rozpoczęli ogień po całym Paryżu. Ponowne oblężenie zrobiło na paryżanach wstrząsające wrażenie. Nikt nie przypuszczał, że sprawa weźmie taki obrót. Wszędzie w mieście zapanował strach i popłoch. Komisja wojenna Komuny wydała następujące ogłoszenie: „rojalistyczni spiskowcy napadli na nas, mimo nasz umiarkowany sposób działania. Teraz jest obowiązkiem naszym bronić miasta przed najściem uzurpatorów”. Wszakże tego dnia uczyniono bardzo niewiele. Wersalczy zaatakowali i odparli niedostateczny garnizon gwardzistów narodowych w Courbevoie, pięciu wzięli do niewoli, w ich liczbie 15-letniego chłopca, i wszystkich rozstrzelali. Był to początek całego szeregu okrucieństw, dokonanych przez wersalczyków, a które się zakończyły najstraszliwszą w nowszej historii tragedją „krwawego tygodnia”.

Po długich sporach władze wojenne Komuny postanowiły urządzić następnego dnia napad. W nocy zamianowano na delegata wojennego Cluseret'a wraz z Eudes'em. Gwardja narodowa, znienacka przywołana do działania, okazała się silnie zdezorganizowaną, często nawet bez oficerów, a wynikiem tego było dużo płątaniny i nieładu. Wreszcie, koło północy trzy kolumny jednak zostały zebrane. Plan polegał na tym, by urządzić energiczną demonstrację w kierunku Reuil'u, w celu zamaskowania na prawym flanku czynności kolumny pod dowództwem Bergeret'a i Flourens'a, podczas gdy Eudes i Duval mieli dowodzić kolumnami w środku i na lewym flanku. Niestety, wszyscy ci wyborni ludzie ani razu jeszcze w życiu nie dowodzili bataljonami na placu boju, pomijając już to, że niżsi oficerzy byli beznadziejnie mizerni. Brakowało najniezbędniejszych rzeczy: aryle-

ria, punkty opatrunkowe, transporty z amunicją znajdowały się wszędzie, tylko nie tam, gdzie powinny były się znajdować. Koło 3-ej zrana 3-go kwietnia kolumna Bergeret'a, licząca 10,000 osób, lecz z 8 jedynie działami, dosięgła miejsca w Neuilly. Posuwała się ona spokojnie po swej drodze pod ścianami Mont Valérien, mając zupełną pewność, że fort znajduje się w rękach Komuny, gdy nagle z twierdzy posypały się granaty, siejąc śmierć i popłoch w szeregach gwardzistów i rozbijając kolumnę na dwie połowy. Strach paniczny, przerażenie, krzyki „zdrada”...

Dobrze pamiętam zdumienie moje z powodu nierozsądnego przeświadczenia federalistów, że Mont Valérien jest w rękach Komuny, bo nawet w angielskich gazetach zamieszczono o parę dni przedtem doniesienie o tym, że punkt ten zajęli wersalczy. Mogłoby się wydawać nieprawdopodobnym, że to, co już było wiadome u nas, zostało niewiadome na miejscu dla ludzi zainteresowanych. Chodzi jednak o to, iż wodzowie Komuny wiedzieli o fakcie utraty Mont Valérien, ukrywali się z tym jednak, przypuszczając, że wojska linjowe nie zechcą strzelać. Wspomnienia o brataniu się żołnierzy z powstańcami 18 marca, doniesienia o niepewności wojsk zgromadzenia, wzmocnionych przez przybyłe z niewoli pułki, — wprowadziły ich w błąd. Zapomnieli oni jednak, że do tego ważnego fortu sztab wojenny Thiers'a specjalnie dobrał ludzi, zapomnieli dalej, iż naruszenie dyscypliny wewnątrz twierdzy jest całkiem inną rzeczą, niż naruszenie jej na ulicy pod presją moralną współczującego tłumu, który jest gotów ukryć nieposłusznych żołnierzy przed ich oficerami. Pomyłka ta, jakkolwiekby piękne były jej źródła, była w ówczesnych warunkach conajmniej przestępstwem. Większość gwardzistów rozproszyła się w różnych kierunkach i wkońcu powróciła do Paryża, a tylko około 1200 osób zostało przy Bergerecie i w dalszym ciągu posuwało się naprzód. Zasilił ich Flourens, który z 1000 jeno osób (reszta również się rozbiegła—taka to była dyscyplina) rozbił wersalską awangardę i zajął wieś Bougival. Cała armja wersalska zwrócona była przeciw temu oddziałowi, a paryska awangarda

musiała odejść do Reuil'u, gdzie niewiele tylko osób zajmowało pozycje, w celu okrycia odwrotu Bergeret'a. Tutaj napadnięto z nienacka na Flourens'a z jego sztabem, i szlachetny ten bohater ludowy został zabity. Biedny Flourens był typem rewolucjonisty, jaki dziś rzadko napotykaemy. Niewątpliwie wiele rozumie obecną kwestję ekonomiczną nieskończenie lepiej od Flourens'a, nikt jednak, o ile nam wiadomo, nie posiada tego dawnego rycerskiego oddania się rewolucji, w które był zasobny ten znakomity człowiek i które go czyniło tak drogim dla wrażliwych robotników paryskich. Flourens należał do zamóżnej rodziny burżuazyjnej, lecz pełna zapалу natura pchnęła go we wczesnej jeszcze młodości do przyłączenia się do powstania przeciw turkom w Lewancie. W drugie połowie drugiego cesarstwa był on, wraz z Rochefort'em, najwybitniejszym agitatorom ludowym. Przedwczesna jego śmierć zmartwiła cały Paryż i wzmogła jeszcze ciężar klęski.

Srodkowa kolumna Eudes'a miała nie więcej powodzenia, niż pozostała. Skutkiem nieporozumienia nie udzielono Duval'owi poparcia, i był on zmuszony poddać się. Z rozkazu jenerała Vinoy został on zabity. Pozbawione otuchy tłumy gwardzistów przybyły wieczorem do Paryża. Jedyne czyn, godny uwagi z wojennego punktu widzenia, w ciągu całego tego dnia - polegał na tym, iż, dzięki energii i zmyślności Ranvier'a, fort Issy zaopatrzono w armaty. Zresztą, mimo wszystko, miała porażka 3-go kwietnia i dodatnie skutki, dała bowiem możność przejawienia się całej ukrytej sile gwardzistów narodowych. Nazajutrz zajęto wszystkie forty. Komuna zdobyła nawet kilka punktów—zajęła napowrót po dwóch dniach Courbevoie i zatrzymała most Neuilly, choć nie na długo. Nie brak było bohaterstwa. Port Maillot trzymał się w przeciągu kilku dni pod ogniem fortu Mont Valérien. Wszakże dla znawcy sztuki wojennej było niemniej jasne, że sytuacja sprowadza się do długotrwałej agonji dla Paryża. Po utracie Mont Valérien nie pozostało żadnej nadziei. Po kilku dniach Komuna musiała wszędzie jeno się bronić. Tymczasem wersalczyki troskliwie postarali się o to, żeby w Wer-

salu nie przejawiała się żadna skłonność do współczuwania z Paryżem. Oficerów, ujawniających żal z powodu bratobójczej wojny, potajemnie zabijano na rozkaz łotrów, po stronie których były wszystkie „szanowane” klasy Europy.

6-go kwietnia odbywał się pogrzeb zabitych podczas nieszczęśliwego ataku 3-go kwietnia. Widowisko było wzruszające. 200 tysięcy osób szło za katafalkiem na cmentarz Père la Chaise. Przedstawiciele od Komuny było 5, z Delescluze'm, starym bohaterem 48 roku, na czele.

Nad mogiłą wygłosił parę słów ten staruszek, ojciec rewolucji, poczym tłum się rozproszył. Poczynając od tego czasu, historia Komuny stanowi głównie historję błędów wojennych i wojennej nieudolności, obok dostatecznej ilości odwagi i dobrych chęci. Dotkniemy wszakże tutaj w krótkich jeno słowach czysto wojennej strony ruchu, jako mającej interes wyłącznie lokalny i czasowy, a w dodatku — niebardzo rozumiałej bez dużej mapy Paryża i jego okolic.

VII.

Z POWODU RÓŻNYCH KWESTJI.

Teraz Cluseret przystąpił do wykonania swych obowiązków delegata wojennego. Imię jego znane już było anglikom w związku z atakowaniem przez Fenjów zamku Chesterskiego w 1867 r. Wielu z czynnych uczestników Komuny uważało go za człowieka nieszczerego i niezdolnego. Drugie posądzenie sprawdziło się, co zaś do pierwszego — nie potrafię powiedzieć nic określonego. Można było wybrać jeden z dwóch planów obrony: obronę zapomocą zewnętrznego linji obronnej z jej fortami, redutami i t. d., wymagającą więcej ludzi, więcej środków oraz więcej doświadczenia wojennego, nizeli miała do rozporządzenia Komuna; albo też obronę wewnętrznego linji obronnej, któraby — w razie umiejętnego prowadze-

nia sprawy — czyniła Paryż faktycznie niedostępnym. Cluseret i Komuna nie zatrzymali się na żadnym z tych planów, lecz wahali się między jednym a drugim, paraliżując rezultaty obu.

Nikczemne zabójstwa Flourens'a i Duvala rozdrażniły wszystkich. Przez szacunek dla opinji publicznej, Komuna rozkazała zatrzymać zakładników, zgodnie z powszechnie przyjętą praktyką wojenną. Na nieszczęście, najlepszym zakładnikom udało się umknąć na samym początku ruchu. Zresztą, zatrzymano jednakże: Darboy, arcybiskupa paryskiego, Lagarde'a, jego wikariusza, Duguerry, księdza kościoła św. Magdaleny, Bonjean'a, przewodniczącego sądu apelacyjnego, Jecker'a, finansistę i polityka, odpowiedzialnego za ekspedycję Meksykańską, oraz kilku jezuitów. Następnie wydano dekret i proklamację, grożąc represaljami w razie dalszych zabójstw ze strony wersalczyków. Lecz dekret pozostał martwą literą. Wersalczyki nie zaprzestali swych z zimną krwią dokonywanych zabójstw jeńców, Komuna zaś nie robiła żadnych represalji. Zamierzając poświęcić cały rozdział kwestji zakładników, nie będę tutaj nic o nich mówił.

Fatalna nieudolność i słabość Komuny poraz pierwszy teraz jasno się przejawily, zarówno w wewnętrznej, jak w zewnętrznej polityce. Poczynając od pierwszego jej posiedzenia, stawało się coraz-to jaśniejsze, że nie jest ona na wysokości swego zadania. Z wyjątkiem 2 — 3 stosunkowo nieważnych dekretów, w ciągu dwóch tygodni nie można było zauważyć żadnej twórczej pracy z jej strony.

Tymczasem na niektórych pozycjach zewnętrznych wykazywały wojska Komuny ogromne bohaterstwo. Port Maillot, pozycja, która w całości narazona była na ogień z Mont Valérien, wytrzymała 7 tygodni, dzięki stopniowym zmianom ludzi. Tutaj właśnie ukazał się na widowni polak Dąbrowski, ów cud zapartej sobie odwagi. Człowiek ten dokonywał, dzięki swej spokojnej nieustraszonosci i świetnemu męstwu, zapomocą mizernych środków czynów nieprawdopodobnych. Wyparł on wersalczyków z Asnières, a w tymże czasie również odważny brat jego zdobył zamek

Bécon i pobił wojska Vinoy, gdy one znów usiłowały go zdobyć.

Ale te odosobnione przebłyski chwilowego powodzenia nie mogły wyrzucić żadnego istotnego wpływu na stan rzeczy.

Tymczasem rozmowy o zgodzie trwały w dalszym ciągu, i dużo dołożyli wysiłków ludzie z dobrymi chęciami (w rodzaju Ligi Praw Paryża), ażeby dopiąć zgody. Wszakże Thiers nie chciał nawet słyszeć o tym. Nie uznawał on przymierza, jednym słowem, nic—prócz bezwzględnego poddania się.

16 kwietnia odbyły się dodatkowe wybory do Komuny, które wywołał wakans na 31 miejsc opuszczonych wskutek śmierci, podwójnych wyborów i odmów deputowanych. Zmiana, w stosunku do wyborów 26 marca, była zupełnie widoczna.

Miast 146 tysięcy głosujących wówczas, oddano teraz w tych samych cyrkulach wszystkiego 61 tysięcy głosów. Czuć było, że nie istniała żadna nadzieja zawarcia pokoju i że wszyscy wotujący oddawali głosy za wojnę z wersalczykami do ostatniej kropli krwi. Bezczytność i wahanie się Komuny do tej chwili również odstręczyły od niej wielu z tych, którzy z nią sympatyzowali.

Po tych wyborach 19-go ostatecznie postanowiono ogłosić wykład programu politycznego Komuny. Program ten, który, jak przypuszczano, ułożyła komisja z 5 członków, był w rzeczywistości cały dziełem pewnego dziennikarza Piotra Denis'a, któremu pomagał Delescluze. Ten Denis, pisujący w gazecie Juljusza Vallès'a „Cri du peuple” (Krzyk ludu), był fanatykiem na punkcie autonomji federalnej i chciał zasadę tę postawić na czele nowej deklaracji, domagającej się uznania republiki i autonomji każdego miasta albo komuny (niezależnie od ich rozmiarów) w całej Francji. Najpierw, zresztą, wystawiono żądanie autonomji Paryża. Pozostała Francja miała iść za jego przykładem wedle sił swoich. W skład praw Komuny wchodziło: wotowanie budżetu, opodatkowanie, organizacja i kontrola nad działalnością miejscową instytucji, magistratura, policja, oświata ludowa, opieka nad po-

rządkiem komunalnym i t. d. — słowem, ustanawiano zupełną autonomję pod każdym względem. W deklaracji była wzmianka o radzie centralnej delegowanych od komun Francji, wszakże funkcje jej i obowiązki nigdzie nie były choć trochę dokładnie określone i zatwierdzone. Jak widać, całkiem zapomniano, że bez gwarancji odpowiednich i kroków zapobiegawczych podobna rada okazałaby się instytucją beznadziejnie reakcyjną wskutek tego, iż większość komunalności głośniałaby pod wpływem duchowieństwa. Cały sens wydania deklaracji polegał widocznie na tym, ażeby co do wszystkich spraw wewnętrznych udzielić Paryżowi zupełnej autonomji i ażeby wszystkie pozostałe komuny Francji poszły za jego przykładem, jak tego w rzeczy samej żądano.

Osobiście sympatyzowałem zawsze z wszelkimi ruchami na korzyść autonomji miejscowej, jako z dążąciami najbezpośredniej do zniweczenia współczesnych „nacji,” czyli zcentralizowanych państw biurokratycznych; i gdyby zaznaczony ruch był odpowiednio zorganizowany przy współudziale innych znacznych miast podczas pierwszych dni marcowych, tedy program decentralizacji, odpowiednio opracowany, mógłby się stać ogólną podstawą polityczną. Teraz jednak było zapóźno. Myśl uczynienia z Paryża osamotnionej wyspy pośród oceanu prowincji francuskich—in glistej nadziei, że inne wyspy zjawią się z czasem same przez się i stworzą archipelag, myśl taka była niedorzeczna. Manifest zawierał parę dobrych miejsc, należących zapewne do Delescluze'a, ale w całości wzięty był on nieodpowiedni i nie na czasie. Niemniej jednak przyjęła go Komuna niemal bez sporów — z takim niedbalstwem zaczęto prowadzić jej posiedzenia.

W radzie Komuny były dwie wyraźne partje, t. zw. „większość” i „mniejszość.” Powstały one na skutek gorących sporów w kwestji prawidłowości wyborów 16 marca i, jak to często bywa z takimi partjami, stosunki między nimi stawały się coraz-to ostrzejsze i przechodziły na grunt osobisty. Niebawem Komuna rozpadła się na kilka frakcji, które panowały naprzemian i bardziej jeszcze pogarszały sytu-

ację przez wzajemne oskarżenia i intrygi. W ten sposób, była sparaliżowana sprawa obrony, dekrety zaś — dobre czy złe — często zostawały pustą formalnością.

A tymczasem wersalczyicy szykowali się do ataku i doprowadzali do porządku codziennie prawie otrzymane z Niemiec posiłki, składające się z wojsk, które po swej klęsce i niewoli w Niemczech gotowe były brać udział w wojnie przeciw komukolwiekbaż, byleby tylko miała powodzenie. Armja wersalczyków dosięgła w końcu kwietnia liczebnie 130 tysięcy osób, nie licząc przybyłych napowrót wojsk.

Bismarck i niemieckie władze wojenne pośpieszyły się zaofiarować Thiers'owi oraz burżuazji francuskiej wszelki możliwy współudział, by pomóc im zgnieść wspólnego wroga—proletariat.

VIII.

WEWNĘTRZNA DZIAŁALNOŚĆ ADMINISTRACYJNA I POLITYKA KOMUNY.

Jakśmy już zaznaczyli, zorganizowała się Komuna, wydzielając z pośród siebie 9 komisji albo delegacji. Były to komisje: zaopatrująca w środki żywności, departament spraw municypalnych, finansowy, wojenny, bezpieczeństwa publicznego, wymiaru sprawiedliwości (justycji), spraw zagranicznych, oświaty i pracy. Działalność pierwszego departamentu, zaopatrywania w żywność, nie napotykała przeszkód do końca kwietnia, gdy Thiers rozkazał powstrzymać ruch wszystkich pociągów z żywnością, jadących do Paryża; ale nawet i potem można było otrzymywać środki żywności ze strefy neutralnej, leżącej między armją niemiecką a wersalską. Prócz tego, w samym mieście było dość zapasów, aby w razie potrzeby móc wytrzymać oblężenie. Departament spraw publicznych albo municypalnych zawiadował instytucjami publicznymi, w rodzaju poczty, telegrafu, mennicy, prasy urzędowej, szpitalów — których znaczna więk-

szość służby była zmuszona albo pozostać w Paryżu, albo też znów tam powrócić. Robotnik Theisz podjął się zawiadywać instytucjami pocztowymi, co było związane z ogromnymi kłopotami; dawny bowiem dyrektor umyślnie doprowadził tam wszystko do nieładu. Podwyższono pensję wszystkim pracownikom, a ilość godzin roboczych skrócono. Z tych wszystkich prawie instytucji usunęli się „wyżsi urzędnicy,” pozostawiając pracę zarządzania niemi w rękach robotników, wyznaczonych tam przez Komunę.

Camélinat, robotnik wyrobów bronzowych, wziął na siebie mennicę i wyśmienicie wywiązał się ze sprawy bicia monety i rytowania marek pocztowych. Szpitale zreorganizowano, a skład ich pracowników został dopełniony i odnowiony przez starego rewolucjonistę Treilhard'a. W komisji finansowej przewodniczył Jourde, który był poprzednio kantorzystą i buchalterem. Varlin, energiczny i oddany sprawie agitator robotniczy, był również nieocenionym członkiem tej komisji, której zadanie polegało na zbieraniu i podziale na opłatę dla wszystkich, będących na służbie, zaliczając do nich i gwardję narodową; na tejże komisji spoczywał obowiązek opłaty na wydatki wojenne. A wszystkie te odpowiedzialne posterunki były zajęte przez robotników i drobnych urzędników z płacą robotników, nie zaś z pensją burżuazyjnych negocjantów finansowych. W departamencie wojennym, z Cluseret'em na czele, sprawy, niestety, szły widocznie gorzej, niż we wszystkich innych. Tutaj wszyscy sobie wzajemnie przeciwdziałali. Ciągłe kłótnie z powodu kwestji, kto ma zawiadywać artylerją, doprowadziły do tego, iż ona faktycznie była bezużyteczna. Często rozdawano przybory i ładunki nie tego kalibru, który był potrzebny. Ważne posterunki często zostawiano bez wsparcia. Intendtura była całkowicie zdeorganizowana. Barykady, które postanowiono postawić, wzniesiono bez wszelkiego określonego planu strategicznego. Wskutek zaś nieściśłego wyznaczenia granic ich funkcji, panował wogóle śród departamentów nieszczęsny zwyczaj wtrącania się do nieswoich spraw. Było to zwłaszcza widoczne w departamencie wojennym oraz w departamencie policji

(bezpieczeństwa publicznego). Ostatnim ze wspomnianych departamentów zawiadywał Raoul Rigault, młody zapalony rewolucjonista, ale niedoświadczony i niestosowny do tak odpowiedzialnego posterunku. W sprawie klasztoru Picpus, w którym znaleziono narzędzia tortur, cele z kobietami, znajdującymi się w strasznym stanie, czaszki z włosami oraz inne wyraźne ślady przestępstw, nie przedsięwzięto nic innego, prócz przesiedlenia mniszek do St. Lazare. Dekretów Komuny nie spełniano. Gazety, zabronione zrana, wieczorem pozwolono sprzedawać. O jednym tylko nie zapomniał ten departament, jak i cały ruch — o humanitarnym i tak zwanym chrześcijańskim przykazaniu: czyńcie dobrze nienawidzącym i prześladowającym was. Komuna wspomagała przez tę komisję żony oraz rodziny tych, którzy przeciw niej walczyli, i mówiła: „Komuna znajdzie chleb dla wszystkich potrzebujących go i opiekę nad wszystkimi sierotami.”

Z komisją policji i bezpieczeństwa publicznego była połączona komisja wymiaru sprawiedliwości. Komuna rozkazała, by każdy areszt zanotowano w tym departamencie. Co się tyczy skrupulatności w kwestji własności, departament justycji był równie pedantyczny, jak i Komuna, zwracając towarzystwu gazowemu kasę pieniężną, zabraną w zakładach towarzystwa podczas rewizji. Zawiesił on w urzędzie komisarza, który — według zwyczaju policyjnego — zabrał pieniądze, znalezione u Gustawa Chaudey'a, gdy ten został zaaresztowany za to, iż rozkazał 22-go strzelać z ratusza miejskiego. Następnie delegacja justycji nakazała troskliwe i surowe zbadanie stanu więziennego i przyczyn aresztu wszystkich znajdujących się tam osób. Ta ostatnia okoliczność doprowadziła do starcia między dwoma departamentami i dymisji Raoula Rigault'a, którego zganił Delescluze za jego niedbałe odnośnienie się do włożonych nań ważnych obowiązków.

Komisję polityki zewnętrznej ustanowiono głównie w celu wytlumaczenia prowincjom, które przez tak długi czas zaniedbywano, sensu i zadań ruchu oraz w celu przeciwdziałania wersalczykom, którzy

starannie zalewali prowincje fałszywemi wiadomościami. W czasie, zresztą, gdy ta komisja zabrała się do roboty, były już stłumione wszystkie ważniejsze ruchy na prowincji, które nastąpiły po 18-ym marca, — tak iż ona nic nie zrobiła i nie była w stanie nietylko kierować, lecz nawet wspomagać sporadycznych zaburzeń, które powstawały w różnych miejscach w ciągu następnych tygodni. Coprawda, rozesłała ona kilku komisarzy, lecz po większej części paryżan, zgoliła nieznanych w tych miejscowościach, do których ich wysłano. Gdy weźmiemy na uwagę, że jedyne widoki powodzenia ze strony Komuny polegały na stworzeniu silnego ruchu wśród uzbrojonej ludności wielkich miast prowincjonalnych, wyda nam się wprost nieprawdopodobnym umiarkowany sposób działań, podjętych przez Komunę. Z powodu samej komisji, należy, zresztą, zaznaczyć, iż wyznaczona jej przez Komunę suma wysokości 100 tysięcy franków była śmiesznie drobna na tak ważny cel, jak — wprawienie w ruch wszystkich prowincji Francji.

Departament oświaty ludowej, jakkolwiek zniósł on niezwłocznie wykład religji i usunął ze szkół wszystkie godła religijne, nie postawił wszakże w działalności swej więcej ponad kroki przygotowawcze, jak opracowanie programów. Chodziły pogłoski, że opracowuje on plan nauczania początkowego i średniego, lecz żadnych tego śladów nie zostało. Elizeusz Réclus i Benoit Gastineau wybornie się zajęli Biblioteką Narodową, malarz Gustaw Courbet, z komitetem artystów, zawiadywał muzeami i galerjami obrazów. Niektóre z okręgów Paryża okazały się znacznie czynniejsze w dziedzinie oświaty ludowej, niż sama komisja. Jeden z nich, z własnej inicjatywy, urządził bezpłatne wydawanie odzieży i pożywienia dla dzieci. Inny oznajmił, iż zadaniem szkoły rewolucyjnej Komuny jest nauczyć dzieci kochać swych współbraci, kochać sprawiedliwość oraz dać im możliwość powrócenia do domu z poczuciem się do obowiązku doskonalenia się i rozwijania — nie w celu osobistego powodzenia, lecz „w interesie wszystkich.” Równocześnie zalecano nauczycielom stosowanie w przyszłości „metody doświadczalnej i naukowej, wyni-

kającej z faktów fizycznych, moralnych i intelektualnych.”

Komisją, która najwięcej ze wszystkich pracowała i najwięcej ze wszystkich przyczyniła się do wprowadzenia w życie zasad socjalistycznych rewolucji 18 marca, była bezwzględnie komisja „pracy i wymiany” pod przewodnictwem austriaka Leona Frankel’a. Zabrała się ona do systematycznego zbierania materiałów i wiadomości, dotyczących stanu pracy i stosunków, istniejących we wszystkich gałęziach produkcji między panami a robotnikami. Poruczono jej również przegląd podatków i przekształcenie systemu finansowego. W swym sprawozdaniu zalecała ona zwrot weksli i zastawów ludziom biednym, zamknięcie kas pożyczkowych, — gdyż celem Komuny było szybkie ustanowienie organizacji, któraby dawała istotną gwarancję wspomaganie pozbawionych pracy. Ogłaszając to, przypuszczała Komuna, że przez to samo robotnicy będą uwolnieni od eksploatacji ze strony kapitału. Następnie zajęła się komisja pracy wydaniami zakazu pracy nocnej dla piekarzy i uznała za nieprawowite wszelkie kary i zatrzymywanie płacy zarobkowej. Naskutek jej wymagania, Komuna postanowiła skonfiskować wszystkie nieczynne fabryki i warsztaty i oddać je niezwłocznie towarzystwom robotniczym, w celu wyzyskania tychże na zasadach kooperacyjnych. Postanowienie to, jakkolwiek w wielu szczegółach niezadawalniające, poraz pierwszy w dziejach otwarcie wprowadzało zasadę ekspropriacji klasy kapitalistów przez klasę robotniczą, i miało pod tym względem niezmiernie znaczenie. Niestety, czas i okoliczności nie pozwoliły wprowadzić go w czyn.

Jak się więc przedstawiał Paryż w czasie Komuny? Był on spokojny, cichy i, co najważniejsza, prawie wolny od przestępstw. Ostatni ten fakt przyznają zarówno przyjaciele, jak wrogowie Komuny. Burżuazyjni Anglicy, nie sympatyzujący z Komuną, byli — wbrew życzeniu swemu — mimowolnymi świadkami bezpieczeństwa i porządku w całym mieście w ciągu dwóch miesięcy, gdy tam gospodarowała rewolucja. Dzielnice, w których przy rozkwicie „porządku” często

się odbywały napady i biła w oczy prostytutka, można było zwiedzać bezpiecznie i dniem i nocą. W czasie, gdy gazety wersalskie codziennie się domagały omalże nie masowej zagłady paryżan, w żadnym wydawnictwie rewolucyjnym nikt nie znalazłby nigdzie wzywania do przelewu krwi. Kościoły, zamknięte dla służby bożej, w którą nikt już poważnie nie wierzył, zamieniono na sale publiczne, w których mówcy wygłaszali z katedr, pokrytych czerwonym suknem, naukę socjalizmu rewolucyjnego. Przy akompaniamencie organów występowały pieśni rewolucyjne. Tuilerje były otwartą salą koncertową dla ludu. Tak wyglądał Paryż podczas Komuny.

IX.

FARMAZONI, KOMITET OCALENIA PUBLICZNEGO I ROSSEL.

Ostatnią poważną próbę pogodzenia Wersalu z Paryżem zrobili farmazoni 21 kwietnia. Thiers chłodno ich przyjął, oznajmiając, że prawo będzie przywrócone, nawet gdyby wypadło w tym celu skazać na zagładę cały Paryż. I dotrzymał on danego słowa. O parę dni później farmazoni postanowili na publicznym zgromadzeniu zatknąć swój sztandar na szanłacach i połączyć swój los z Komuną. I oto 29-go zebrało się 10 tysięcy braci, stanowiących 55 łóż, i skierowało swe kroki do ratusza miejskiego, a na czele szli wielcy mistrzowie ze wszystkimi swymi atrybutami i sztandarami łóż. Śród nich odznaczał się nowy sztandar Vinceński z napisem czerwonymi literami na białym polu: „kochajcie się wzajem”. Puszczono również balon, z którego za murami Paryża sypały się manifesty wolnych mularzy. Następnie pochód skręcił przez bulwary i pola Elizejskie ku Arce Tryumfalnej, gdzie wzdłuż szanlaców w różnych miejscach zatknięto sztandary. Ujrzawszy białą chorągiew na Porte Maillot, wersalczyki zaprzestali strzelania,

a komendant ich, sam wolny mularz, przyjął deputację od braci i zwrócił się do Wersalu z ostatnim wezwaniem, które przyjęto. Zresztą, „głowa władzy wykonawczej” nie zdążył jeszcze wysłuchać delegowanych, a zrzekł się zaraz dalszego roztrząsania kwestji pokoju z kimkolwiek bądź. Właściwie, nie można było nawet oczekiwać innego przyjęcia. Ten gładziutki zagniewany burzua czuł już zapach krwi proletarjuszów, której tak był spragniony. Po tej ostatniej nieudanej próbie zawarcia zgody, farmazoni ostatecznie przeszli do szeregów bojowników za Komunę.

Millière, który od samego początku kwietnia pracował nad organizacją prowincjonalistów w Paryżu, skłonił wreszcie „Republikański związek departamentów”, składający się z zamieszkałych w Paryżu prowincjonalistów, do formalnego przyłączenia się do Komuny; 15 tysięcy osób, z nim na czele, wybrało się do ratusza, przegłosowawszy poprzednio odezwę do departamentów. Działo się to 30 kwietnia. Tego samego dnia po obiedzie otrzymano wiadomość o ustąpieniu federalistów z fortu Issy, wskutek niespodzianego napadu wersalczyków. Zostało, zresztą, kilka osób, a między nimi pewien młodzian z wielką ilością prochu i z sznurem artyleryjskim, a gotów on był raczej zostać wysadzonym w powietrze wraz z fortem, aniżeli poddać się. Gdy tylko nadeszły te wiadomości, natychmiast udały się tam posiłki, a wersalczyków wyparto z parku, opasującego fort, sam zaś fort napowrót zajęto. Wypadek ten, jakkolwiek nie mający bezpośrednich skutków, nagle rzucił światło na niedbalstwo i opieszałość, z którymi prowadzono obronę. Cluseret tegoż samego wieczora został aresztowany. Ten sam wypadek w pośredni sposób doprowadził również do ułożenia projektu, pomyślanego o parę dni przedtem, mianowicie—projektu do utworzenia „Komitetu ocalenia publicznego”. Dostrzegamy tutaj przejaw starych tradycji rewolucyjnych. Wyrzekł to formalnie stary ich kustosz, Feliks Pyat, podając w charakterze motywu fakt, iż Komitet ocalenia publicznego należał do okresu, który poraz pierwszy stworzył „republikę” i „komunę”. To oddawanie czci frazesom i amuletom historycznym jest do

tego stopnia charakterystyczne dla francuzów i w tym stopniu zatruwało ono wszystkie francuskie ruchy ludowe, że zasługuje na osobne zaznaczenie. Bądź co bądź, nie chodziło, naturalnie, o nazwę—lecz wszędzie panowała świadomość konieczności stworzenia na ten czas jakiejś władzy zcentralizowanej. Jakkolwiek stała komisja wykonawcza Komuny była zreorganizowana, okazała się ona jednak niezadowolniająca. W swej ostatniej przekształconej postaci składała się ona z Cluseret'a, Jourde'a, Viard'a, Paschala Grousset'a, Frankel'a, Protot'a, Andrien'a, Vaillant'a i Raoula Rigault'a. Koniec-konców założenie Komitetu ocalenia publicznego postanowione zostało 45 głosami przeciw 23. Sprawa ta wywołała otwarty spór między t. zw. „większością” a „mniejszością” Komuny. Większość, kierowana przez Feliksa Pyat'a, głosowała za komitetem. Mniejszość, składająca się z najbardziej zdeklarowanych socjalistów ratusza miejskiego, głosowała przeciw niemu. Gdy sprawa dotknęła wyboru członków komitetu, mniejszość odmówiła brania w nim wszelkiego udziału. Wówczas „większość” wybrała Arnaud'a, Ranvier'a, Meillet'a, Gérardin'a i Pyat'a. Zartarg ten miał najzgodniejszy wpływ, poraz pierwszy bowiem pokazał całemu światu różnomyślność i rachunki osobiste w Komunie, które dotychczas nie wychodziły z sali obrad.

Tego samego wieczora (30 kwietnia), w który aresztowano Cluseret'a, na jego miejsce zamianowano Rossel'a. Był to rozczarowany młody oficer, który był w służbie w czasie wojny francusko-pruskiej i uważał siebie za niesprawiedliwie pominiętego przez władze wojenne. Szukając dla siebie stanowiska, na którym mógłby się wybić, i pełen zaciekleści przeciw dawnym swym zwierzchnikom, przybył on do Paryża i zaczął służyć rewolucji. Nie obchodziły go zgoła jej przyczyny i cele, a na zapytania Komuny szczerze odpowiedział, iż nie rozumie, co to jest socjalizm, lecz że nienawidzi rządu, który oddał „prusakom” dwie prowincje francuskie, i że jest gotów poprzeć wszelki ruch, dążący do jego obalenia, Wobec dopiero co ujawnionej niezdolności, a może i zdrady, Cluseret'a, młody ten oficer z pewną reputacją wo-

jenną, a który przytym tak śmiało mówił o stanie spraw, wydał się panom z ratusza omal że nie zesłanym z nieba. Rossel chciał prowadzić sprawy w duchu surowej dyscypliny i zaraz od pierwszego kroku nie potrafił ułożyć jak się należy stosunków swych z gwardją narodową, z obywatelami-żołnierzami. Mimo całą jego pretensjonalność, nie było jednak wiadać ulepszeń w porządkach, zaprowadzonych przez Cluseret'a. Rozpoczął on od systemu barykad, związujących trzy główne pozycje strategiczne wewnątrz miasta — Montmartre, Trocadéro i Panteon, nie doprowadził ich do końca. Wersalczycy zaś przez ten czas zdążyli wystawić nowe baterje, a linja ognia pozwoli, lecz wytrwale coraz bliżej i bliżej okalała Paryż. Sytuację utrudniał jeszcze komitet centralny, którego personel prawie zupełnie się zmienił w porównaniu z tym, czym był dawniej, i ciągle się mieszał do spraw komisji wojennej. Issy po upływie kilku dni przeistoczył się w stos zwalisk, i uprząknięto go wreszcie 9-go maja. Tego samego wieczora Rossel — z niedyskrecją najwidoczniej z góry zamierzoną, jakgdyby to była wieść o zwycięstwie, — po całym Paryżu rozlepił ogłoszenia, oznajmiające, że: „sztandar trójkolorowy powiewa nad fortem Issy, opuszczonym przez garnizon”. Zaraz potym napisał on list, w którym usiłował oczyścić swą reputację wojenną, powołując się na nędzną organizację służby wojskowej. Wszystkim było wiadomo, że jest ona dość marna, lecz przecież Rossel doskonale znał stan rzeczy, kiedy brał na siebie odpowiedzialność, a stąd zupełnie jest oczywiste, iż nie uczynił on nic z tego, co mógłby uczynić, jakkolwiekby marne były warunki. Skończył on na tym, iż podał się do dymisji i poprosił dla siebie o „cełę w więzieniu Mazas”.

OSTATNIE DNI PARYŻA.

Poza swemi czysto wojennemi operacjami, wersalczycy chętnie korzystali również z usług swych szpiegów i próbowali wejść do miasta na drodze zdrady. Zresztą, pozatym, panowie ci spierali się tylko z sobą, denuncjowali się wzajemnie przed swemi zwierzchnikami i, niezależnie od wielkich obietnic, które każdy z nich dawał, nie uczynili nic, prócz zmarnowania kilkuset tysięcy franków z państwowych pieniędzy. Większość ich składała się ze „starych żołnierzy”, kilku oficerów morskich, reakcyjnych gwardzistów narodowych, albo też wprost — szubrawców. Gdy niektórzy z nich próbowali przekupić Dąbrowskiego, zaskarżył on ich przed komitetem bezpieczeństwa publicznego. Była to, jak się zdaje, ostatnia próba Thiers'a, by zdobyć Paryż za pomocą zdrady. Przekonał się on, że to do niczego nie prowadzi.

Tymczasem niesnaski w sali rady między „większością” a „mniejszością” Komuny, niestety, coraz bardziej się zaostrzały. Rossel, mimo prośbę swą, by mu dano „cełę w Mazas”, i mimo słowo honoru, iż nie będzie się ratował ucieczką, jednakże uciekł i skrył się w bezpiecznym miejscu, stąd go po trzech tygodniach wyciągnęli już wersalczycy, którzy zdobyli Paryż. Aresztować go postanowiła prawie jednogłośnie cała Komuna przy zagajeniu obrad 10 maja. Następnym zadaniem, będącym na porządku dziennym, była reorganizacja tak okropnego komitetu ocalenia publicznego, który, po 8-dniowym istnieniu, zdaniem ogółu, okazał się na nic niezdatnym. „Mniejszość” skorzystała ze sposobności, by „większości” po bratersku podać dłoń na znak zgody; wszakże „większość”, kierowana przez Feliksa Pyat'a, który przewodniczył na posiedzeniu, w dalszym ciągu zachowywała się podejrzliwie i nieufnie, tak, że rozłam stał się ostrzejszy jeszcze, niż przedtym. Skład komitetu zmienił się, ale znowu znaleźli się w nim jedynie członkowie „więk-

*Każdy widocznie byłby zainteresowany w tym, aby
stać się dowódcą, lecz stonki były ignorancją
to nie chce się być co więcej bez stonki nie
władze, jak*

szości". Wybrano Ranvier'a, Gambon'a, Delescluze'a, Arnaud'a i Eudes'a. Delescluze'a zamianowano następnie na naczelnika departamentu wojennego, Billi Corey, niewybitny członek „większości“, zajął opróżniony w ten sposób wakans w komitecie, Raoul Rigault dostał się znowu do departamentu bezpieczeństwa publicznego, ale tym razem w charakterze prokuratora policyjnego; natomiast prefektem policji został Teofil Ferré, gdyż Cournet, który z początku zastępował Rigault'a w prefekturze, zrzekł się urzędu.

Nowy Komitet ocalenia publicznego rozkazał zburzyć dom Thiers'a w Paryżu, co też wykonano. To, zresztą, było niezbyt pożyteczne—wobec tego, iż zgromadzenie narodowe mogło go napowrót zbudować na koszt państwa, i w rzeczy samej, w Wersalu wydano niezwłocznie odpowiedni dekret. Tymczasem, Komuna i jej stronnicy nie zajmowali się poważnie jedynie doniosłą kwestją chwili—obroną Paryża, wydawali ciągle dekrety, dotyczące pożytku i upiększenia miasta, dekrety, wśród których wiele było istotnie wybornych samych przez się, lecz bardzo niewiele—na czasie.

Z pośród najlepszych kroków Komuny, posiadających, że się tak wyrażę, „charakter symboliczny“, zwrócić należy uwagę na wydany 12 kwietnia dekret o zburzeniu słupa Vendôme'skiego. Jakkolwiek przygotowania do tego zaczęto robić odrazu, wskutek jednak różnych przeszkód zakończono je dopiero po upływie miesiąca, tak iż dopiero 16 maja runął na ziemię ten wielki emblemat „patriotyzmu“ francuskiego. Ponieważ wzniesiono tę kolumnę w celu uświetnienia zwycięstw Napoleona I, odniesionych podczas jego zaborczych pochodów, słusznie spoglądano na nią, jako na ucieleśnioną obrazę nie tylko każdego innego narodu europejskiego, lecz przedewszystkim—rewolucji z jej zasadami międzynarodowemi. I oto 16-go maja po południu zgromadził się na placu Pokoju oraz na placu Zgody wielki tłum ludzi; dachy i okna domów były napełnione widzami, którzy w skupieniu i nie bez strachu nie spuszczała oka z czynności przygotowawczych: ogromną sieć lin przeciągnięto do szczytu kolumny. O godz. 5 gwardzista narodo-

wy przemocował sztandar trójkolorowy na galerijce u szczytu tej samochwalczej wspaniałości, a o parę chwil potem chorągiew narodowa, posąg Napoleona i sama kolumna leżały rozbite na kawałki na grubej warstwie nawozu, przygotowanego dla nich poprzednio. Obawy okazały się płonne, a runięcie odbyło się bez żadnego wypadku.

W przeddzień tego, 15-go, niesnaski między mniejszością a większością dosięgły swego zenitu, a mniejszość wystąpiła ze składu Komuny wskutek proklamacji tej ostatniej, dotyczącej „Komitetu ocalenia publicznego“, w której się oznajmiało, że Komuna przekazała swe czynności w ręce nieodpowiedzialnego komitetu. „Co zaś do nas“, oznajmiano dalej, „pragniemy nie w mniejszym stopniu, niż większość, urzeczywistnienia reorganizacji politycznej i socjalnej; lecz, naprzekór jej poglądom, obstajemy przy prawie, byśmy sami tylko byli odpowiedzialni za wszystkie nasze czynności przed wyborcami, nie chowając się za plecami wyższej dyktatury, której pełnomocnictwa nasze nie pozwalają nam ani przyjąć, ani uznać“. Dalej wskazywano w proklamacji na to, iż ci, co ją podpisali, zamierzają—w celu usunięcia możliwości powstania dalszej różnicy zdań w sali rady—oddalić się do swych okręgów, ażeby zorganizować opór przeciw wspólnemu wrogowi. Proklamacja kończyła się wspaniałomyślnym wyrażeniem przeświadczenia, że my „wszyscy, większość i mniejszość, niezależnie od różnicy zdań w sprawach taktyki, dążymy do jednego celu—politycznej wolności i wyzwolenia robotników. Niech żyje republika socjalna! Niech żyje Komuna!“

Pod deklaracją byli podpisani: Beslay, Jourde, Theisz, Lefrançais, Girardin, Vermorel, Clémence, Andrieu, Serrailier, Longuet, Artur Arnould, Clément Victor, Aurial, Ostyn, Frankel, Pindy, Arnold, Vallès, Tridon, Varlin i Courbet. Przyłączył się do nich potym również Malon.

Zachowanie się mniejszości, porzucającej Komunę w tak krytycznych chwilach, zasługuje na najpoważniejszą naganę. Podany przez nich powód był poprostu niedorzeczny. Przecież sami oni głosowali

za drugim komitetem. W dodatku, taki pedantyczny parlamentarizm i obawa dyktatury były nadzwyczaj śmieszne wobec przesilenia, które ruch przeżywał. Można się na to zgodzić, iż skład komitetu mógł wywołać wiele protestów, — i w praktyce okazał się on dość nieudolnym. Wszakże w zasadzie nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż stan rzeczy wymagał właśnie dyktatury. Komitet poniósł klęskę z żadnej innej przyczyny, jak dlatego, iż nie posiadał człowieka, dość twardego do „dyktatury”. Niepodobna zaprzeczyć, iż taki postępek mniejszości, która pozwoliła kierować sobą pobudkom osobistej przykrości, zadał silny cios wpływowi Komuny, zarówno wewnątrz, jak i nazewnątrz, i dał dostateczny powód do naigrawań przyjaciołom „porządku” w Wersalu i w innych miejscach. Jednak większość z podpisujących deklarację zrozumiała widocznie wkrótce po swym wystąpieniu, iż popełniła błąd, — i po upływie dwóch dni, 17-go, znaczna jej część powróciła do ratusza, nie bacząc na swą odmowę. Zgromadzenia publiczne, zwołane przez nich w dniu poprzednim w ich okręgach, bynajmniej nie pochwały ich wystąpienia z Komuny. Posiedzenie 17 maja było najliczniejsze ze wszystkich — przez cały czas istnienia Komuny; było na nim obecnych 66 członków. Niestety jednak, zajęło się ono głównie osobistymi waśniami między dwiema partjami, gdy w tym o godzinie 7 wieczorem przerwał je wybuch w fabryce prochu przy Avenue Rapp, który wstrząsnął całym Paryżem od końca do końca. Czy był to przypadek, czy też zdrada? Dotychczas nikt tego nie wie.

WKROCZENIE WERSALCZYKÓW.

Niedziela 21 maja — był to jeden z owych cudnych dni wiosennych, gdy pola Elizejskie i ogrody Tuileryjów roztaczają w jasnym powietrzu cały przepych młodej swej zieleni, której równej niema w żadnej stolicy Europy. Po-południu miał się odbyć — z rozporządzenia Komuny — pod drzewami ogrodów tuileryjskich, na otwartym powietrzu, wspaniały koncert na rzecz wdów i sierot pogwardzistach narodowych, którzy zginęli podczas obrony Paryża. Tysiące paryżan w świątecznych strojach tłoczyło się w ogrodach. Na końcu koncertu oficer gwardji narodowej oznajmił, że w następną niedzielę w tym samym czasie i na tym samym miejscu odbędzie się drugi koncert. Lecz w następną niedzielę miała się rozegrać całkiem odmienna scena i w innym otoczeniu: ponura dżdżysta pogoda, Paryż — pokryty gęstym dymem, krew — płynie rynsztokami, leżące wszędzie trupy — zatarasowują ulice... Iluż-to robotnikom i rodzinom ich, błogo rozkoszującym się zabawą koncertową, nie było sądzone ujrzeć następnej niedzieli! W tym samym czasie, gdy oficer na polach Elizejskich zawiadamiał o mającym się odbyć nowym koncercie, bandyci „porządku” byli już w mieście — bez wiedzy tych, których pieczy ono było powierzone. Stało się to, jak następuje. Wraz z ustąpieniem Rossel'a obrona miasta doszła do większego jeszcze nieporządku, niż przedtem. Wielka przestrzeń linii obronnej, zaliczając do niej kilka bram, pozostała zupełnie niebroniona. Ze swej strony wersalczyki poprzedniego dnia wystawili ogromną sieć baterji. Huk ich wystrzałów, trwający całe godziny, nie zdołał jednak nauczyć paryżan rozsądku i ostrzec ich, że koniec już bliski. Pierwszy oddział wojskrządowych wszedł do bramy St. Cloud, jednego z niebronionych punktów — stało się to około 3-ej. Dąbrowski, który w ciągu dwóch ostatnich ty-

godni kierował beznadziejnie zdezorganizowaną obroną, dowiedział się o stanie spraw od oficera gwardji narodowej, — dopiero po upływie godziny. Rozkazał on niezwłocznie komisji wojennej dostarczyć 7 armat, zmobilizować natychmiast najlepsze bataljony — i zajął wrota Auteuilskie. Wkrótce potem zajęli gwardziści narodowi także inne punkty, wrota zaś przy Jeńskim moście zabarykadowano. Dąbrowski niezwłocznie zawiadomił o tym, co zaszło, komitet ocalenia publicznego, który ze swej strony posłał Billiorey'a, aby doniósł o wszystkim Komunie. W tym czasie Komuna sądziła Clusereta, na skutek oskarżenia jednego ze swych członków Miot'a, ale ponieważ oskarżenie popierały wyłącznie nieuzasadnione pogłoski i plotki, upadło ono samo przez się jeszcze przed przybyciem Billiorey'a. Przyniesiona przezeń wiadomość spadła na wszystkich, jak grom z jasnego nieba; posiedzenie natychmiast zamknięto, a Cluseret'a uniewinniono. Ale zamiast niezwłocznie zastanowić się poważnie nad stanem rzeczy i w rezultacie, być może, zatrzymać się nad jakimś określonym planem obrony, Komuna prosto rozpadła się na grupy gadułów, którzy paplali do godziny 8, gdy wreszcie przewodniczący ogłosił posiedzenie za zamkniętą. Było to ostatnie posiedzenie Komuny Paryskiej. Każdy z osobna członek Komuny stał się obecnie w stosunku do swego okręgu głosem wołającego na puszczy. Zamiast wydać rezolucję, ogłaszającą posiedzenie Komuny za nieprzerwane — a należało to koniecznie uczynić w celu stworzenia centrum i punktu ogniskowego do obrony — Komuna opuściła ratusz miejski, świadomie, w ten sposób, popełniając zabójstwo i podpisując wyrok śmierci całemu rewolucyjnemu Paryżowi. Ostatnią nadzieję można było budować na trwałym, dobrze zorganizowanym połączeniu sił wojennych do rozporządzenia Komuny wewnątrz miasta, oraz na wzniesieniu systemu barykad, związujących trzy główne punkty strategiczne — Montmartre, Trocadéro i Panteon. Ale zamiast ześrodkowania wysiłków, w tej krytycznej chwili panowało jedno tylko zamieszanie. Wszyscy opuścili ratusz i rozeszli się — każdy do swego okręgu. Nie brak było energii, przejawiała

się ona jednak nazbyt późno i rozpadła się w izolowanych i zdezorganizowanych czynnościach. Komitet ocalenia publicznego stracił głowę, nie wiedząc w którą ma się zwrócić stronę. Delescluze w komisji wojennej zachował jednakże zimną krew i uspakajał Komunę zapewnieniami, iż bitwa uliczna będzie sprzyjała paryżanom.

Naczelnik sztabu jeneralnego, Henri Prudhomme, wysłał po wiadomości do naczelnika posterunku wywiadowczego przy Arce Tryumfalnej; ten oświadczył, że nie widzi żadnych wersalczyków. Potym przylepiono ogłoszenie, utrzymujące, że wstąpienie wersalczyków do Paryża jest wątpliwe. Jednakże o 11-ej w nocy pewien członek Komuny, przejeżdżając jedną z zewnętrznych ulic obok linii obronnej, ulicą Beethovena, spostrzegł, że ognie tam są zgaszone. Równocześnie koń jego począł brodzić w kałużach krwi. Przy ścianie leżały złowieszcze ciemne postaci, które się okazały trupami zabitych gwardzistów narodowych. O północy generał Cissey z oddziałem swym wgramolił się na szanice w innym nieobronionym punkcie i wszedł do miasta, nie napotykając oporu. Następnie znaleźli przybyli wersalczycy jeszcze kilka bram, o świcie zaś armja wersalska napłynęła do Paryża przez pięć różnych miejsc. Paryżanie dowiedzieli się po przebudzeniu, że piętnasty okrąg został zdobyty, że Passy i Trocadéro są zajęte przez wersalczyków; granaty wersalskie padały nawet do środka miasta. Zaczęła się masowa ucieczka z posterunków zewnętrznych, zajętych jeszcze przez federalistów. „Teraz na barykady,“ rozlegały się krzyki, — „każdy do swego okręgu!“ Ostatnie ślady dyscypliny znikły całkowicie. Wszędzie występowały pierwiastki anarchji. Delescluze wydał fatalną proklamację, pełną niedorzecznej gadaniny na temat, że gołe ręce ludu są silniejsze niż pomysły strategików wojennych, i, wyrażając się z pogardą o wszelkiej organizacji, uświęcał oficjalnie bezmyślne dziwactwa różnych demagogów i gorszych żywiołów gwardji narodowej.

Z samego rana opuszczono lokal, zajmowany przez departament wojenny, przyczym Henri Prud-

homme, na skutek występnego niedbalstwa, nie zniszczył dokumentów urzędowych, skazując w ten sposób tysiące ludzi na śmierć i zesłanie. Kupcy w wewnętrznych częściach miasta, nie rozumiejąc stanu rzeczy, zaczęli już otwierać swe sklepy, ale zaraz zamknęli je napowrót, gdy przeczytali proklamację Delescluze'a i przeświadczyli się, że grzmot dział dochodzi już z wewnętrznych części szaniców. W różnych dzielnicach śpiesznie i bez wszelkiego systemu wzniesiono barykady, lecz i to w większości wypadków wtedy dopiero, gdy wersalczyki zaczęli otwarcie grozić pozycjom. O 9 rano kilku członków Komuny, w ilości zbyt już nieznacznej, zjawilo się w ratuszu, lecz rozeszli się oni po jałowych rozmowach, przyczem żaden z nich nie wymyślił jakiegoś określonego planu obrony. Na wszystkich murach wisiały proklamacje, nawołujące do dział i barykad z zapewnieniami zwycięstwa. Bez mapy Paryża bezużyteczne byłoby opisywanie powolnego, lecz wytrwałego ruchu zaczepnego wersalczyków, który się tego dnia (w poniedziałek 22 maja) odbył. Wystarczy powiedzieć, iż obrona uliczna odznaczała się temi samemi rysami charakterystycznymi, tylko w ostrzejszej formie, któreśmy zaznaczyli w bitwach przy linii obronnej—tą samą bezgraniczną odwagą (na każdym kroku brali w walce udział młodzi chłopcy) i tą samą niemożliwością otrzymania na czas posiłków, dział i żywności. Wyżyny Montmartru pozostały głównym środkiem obronczym Komuny, potem jak Trocadéro został stracony, a Panteon ledwo się trzymał. Montmartre był, jako pozycja, bardzo silny i, przy umiejętnie urządzonej obronie, mógłby wytrzymać kilka dni. Lecz wszędzie rozlegały się jedne i te same okrzyki: „chcemy bronić naszych własnych dzielnic.” Niemniej jednak, ze zbliżaniem się wieczoru we wszystkich kierunkach pojawiały się barykady. Miało się wrażenie, że w Paryżu istotnie cała masa się poruszyła; wprowadziło to w błąd wielu, którzy i teraz jeszcze w dalszym ciągu szczerze wierzyli w zwycięstwo.

Tymczasem wściekłe zgromadzenie narodowe, płonąc radością na myśl o krwawej uczcie, którą mu przyrzekł stary łotr, postanowiło jednogłośnie, iż

„głowa władzy wykonawczej” oraz armja wyświadczyli krajowi ogromne usługi.

XII.

BARYKADY.

Noc z poniedziałku na wtorek zeszła na cichych i ponurych przygotowaniach (niestety, zapóźnych). We wszystkich dzielnicach słycać było uderzenia drągów żelaznych i łopat—przy wyrwaniu kamieni z bruku i wykopywaniu fundamentów dla barykad, które powstawały całemi setkami. Przy pracy byli mężczyźni, kobiety i dzieci. Broniąc ideału swego, wykazali oni taki entuzjazm, taką bezgraniczną odwagę i pogardę dla śmierci, jakie się nigdy jeszcze nie ujawniły w podobnych wydarzeniach w ciągu dziejów, a które same wystarczą do okupienia wszystkich okropności 19-go wieku. Było to bohaterstwo, z którym porównane błędnie bohaterstwo pierwszych męczenników chrześcijańskich. Chrześcijanie wierzyli przynajmniej, że chwila, w której pantera zatopi swe zęby albo pazury w ich gardłach, będzie dla nich chwilą przejścia do nowego nieskończonego życia, pełnego czci i chwały. Ich stałość była w ten sposób czysto egoistyczna.

Robotnik-komunard wiedział, że w chwili, gdy go z nóg zwali kula żołnierza wersalskiego, jego życie indywidualne skończy się nazawsze. A jednak chętnie on niósł siebie w ofierze przyszłości, t. j. przyszłości swej klasy oraz szczęśliwemu życiu całej ludzkości, których on sam nie ma ujrzeć. Tak jest, to zaparcie się siebie, to bohaterstwo całej klasy robotniczej Paryża były pełne wspaniałości, ale niestety—nie była to wojna. Gdyby Cluseret, Rossel lub komitet ocalenia publicznego zorganizowali stosunkowo prosty system barykad i gdyby wcześniej rozpoczęli potrzebne przygotowania, to kilka dobrze

uzbrojonych bataljonów mogłyby ocalić sytuację. Nikt się jednak tym nie zajął. Wszystko zostawiono na pastwę zamętowi i nieporządkom. Wreszcie krzyk: „wszyscy do swych cyrkułów”, wydany wówczas, gdy wszyscy powinni byli być na punktach strategicznych, zakończył niepowodzenie. Urządzono ogromną liczbę barykad—bez wszelkiego systemu, w każdym cyrkułe; broniono ich również bez wszelkiego systemu, lecz w sposób bohaterski, masowo dostając się do niewoli albo też ginąc w tej rzezi. Paryż rewolucyjny, jako całość, znikł, rozpadając się na oddzielne uczątki i skrawki. Byłoby zbyt cenne zagłębianie się w szczegóły mrocznej powieści o barykadach; całemi godzinami, nieraz w ciągu 2—3 dni, broniła ich garstka ludzi, którą wkońcu rozbijał cały pułk regularnych żołnierzy; barykady, niedostępne z frontu, zdobywano często z flanków. Nieprzyjacielowi wydawało się nieprawdopodobnym, by obrońcy Paryża nie uczynili żadnych istotnych przygotowań do obrony i nie mieli nawet planu organizacji tejże, a przeto do wtorku wieczór napadali wersalczyki niedość stanowczo. Podejrzewali oni, że z ich wkroczeniem bez przeszkód do miasta oraz zajęciem ważnych pozycji sprawa nie jest całkiem gładka, że grozi to, być może, zagładą całej armji wersalskiej—bądź to od zaszczepki, min podziemnych albo czegoś w tym rodzaju. Niestety, obawy ich były zupełnie bezpodstawne, a środki ostrożności—zbyteczne.

W poniedziałek były chwile, w których kilka dobrze wycelowanych granatów z Montmartru i Pantheonu mogłoby zniszczyć dwie główne kolumny armji wersalskiej, które się z sobą spotkały i zwały się w kupę ze swą artylerją na placu Trocadero. Montmartre jednak milczał. W poniedziałek o godzinie 10 w nocy zapłonął gmach ministerjum finansów, za Tuilerjami. Był to pierwszy z ogromnych pożarów. Gmach ten zapalił się od granatów wersalskich, skierowanych przeciw szancom federalistów na tarasie Tuilerjów: stopy dokumentów na wyższych piętrach dostarczyły świetnego materiału palnego, który rozniósł na wszystkie strony płomień i iskry. Z samego rana we wtorek Bismarck udzielił pasu neutralne-

go oraz wrót St. Ouen drugiej dywizji armji wersalskiej, która napłynęła do Paryża: jeszcze jeden dowód kłamliwości uczucia t. zw. „patriotyzmu”, gdy sprawa dotyczy interesu klasowego. Francuscy burżuazja-„patrioci” gotowi byli lizać buty zniecierpliwionych przez siebie „prusaków”, błagając ich na klęczkach o pomoc przeciw proletarjatowi francuskiemu. Tymczasem członkowie Komuny—wobec wspólnego niebezpieczeństwa — wznieśli się ponad swe drobne niesnaski osobiste. „Większość” i „mniejszość” ubiegały się wzajemnie o to, kto więcej zrobił. Ale jakże mało można było teraz dokonać! Cluseret był bezsilny; La Cécilia, starego jenerała garibaldzkiego i człowieka nie pozbawionego zdolności wojennych, wojska nie chciały się słuchać, a nie mógł on dostać ani artylerji, ani przyborów dla pozycji wojennych. Montmartru, fortu niemal niedostępnego, broniło kilka setek zdeorganizowanych federalistów.

Kilka znajdujących się tam dział się popsuło i było prawie bez wartości. Koło południa we wtorek Montmartre był zdobyty bez szczególnie silnego oporu. Batignolles zajęto wcześniej jeszcze tego samego dnia. Na Montmartre odbyła się pierwsza z masowych rzezi „krwawego tygodnia”. Czterdziestu dwóch ludzi—mężczyzn, kobiety i dzieci — zaprowadzono na ulicę des Rosiers i zamordowano jako hekatombę ceniom zmarłych lotrów Lecomte’a i Clément-Thomas’a. Żołnierze chcieli skłonić ich do padnięcia na kolana; lecz kobieta pewna w dzieckiem na rękę odmówiła tego, odzywając się do swych towarzyszy: „pokażcie tym nędznikom, że umiecie umierać stojąc!” Na południowej stronie Sekwany siły Komuny miały większe powodzenie. Polski emigrant Wróblewski, obznajmiony cokolwiek ze sztuką wojenną, urządził naprędce prosty system obrony, który dał możność zatrzymania przez pewien czas nieprzyjaciela w dość znacznej odległości. Ostateczną ideą Wróblewskiego było ześrodkowanie całej obrony na tym lewym brzegu, pod osłoną fortów oraz strzelnic Sekwany i Pantheonu. Zakomunikował on ten plan Delescluse’owi. Zgoła jednak niepodobna było urządzić wszystkiego zgodnie ze schematem taktycznym, nie zastosowanym

do materiału, który się bezpośrednio znajdował pod ręką, ani do warunków chwili bieżącej: tak wielka była dezorganizacja obrony. Członek Komuny, Lisbonne, dowodził oddziałem federalistów w dzielnicy panteońskiej. Dokazywał on cudów, z mizernymi środkami, broniąc w ciągu całych 2 dni dostępu do Luxembourg. Komitet ocalenia publicznego wydał proklamację, w której wzywał żołnierzy wersalskich, aby odmówili strzelania w swych braci paryskich. To samo uczynił komitet centralny. Lecz wszystko bez skutku. We wtorek wieczór nawet połowa Paryża nie była w rękach Komuny. Wersalczycy pozwali się bez wszelkich obaw śmiało naprzód we wszystkich kierunkach. Tego wieczora Raoul Rigault, nie posiadając się z gniewu z powodu straszliwych przestępstw, popełnianych wszędzie przez przyjaciół „porządku”, a biorąc wyłącznie na siebie odpowiedzialność,—udał się do więzienia St. Pélagie i rozkazał wyprowadzić na podwórze więzienne i rozstrzelać, wraz z trzema żandarmami, Gustawa Chaudey’a, oskarżonego o to, iż na jego żądanie w styczniu z ratusza miejskiego strzelano do ludu. Wszystkich tych ludzi zabrano w charakterze zakładników, i w istocie już tysiąc razy tracili oni prawo na życie, lecz Komuna dotąd ich oszczędzała. Tymczasem sprawy obrońców Komuny szły coraz gorzej i gorzej. Do braku ogólnego kierunku przyłączył się teraz brak zapasów wojennych, a w pewnych razach—nawet pożywienia. We wszystkich częściach Paryża wybuchały pożary, oświetlające nocne niebo. Pożary powstawały od granatów wersalskich, lecz urządzali je również sami komunardzi, w celu obronienia się przed niewidzialnymi wrogami, którzy strzelali do nich z dachów i z górnych pięter domów.



XIII.

„KOMUNA LUB ŚMIERĆ.“

Niepodobna opisać wszystkich okropności tych nocy. Ogień setki pożarów odbijał się w kałużach krwi; wszędzie były rozrzucone trupy ludzkie; połowa Paryża przeistoczyła się w ogromne, wstrętne, okropności pełne piekło, w porównaniu z którym blademi wydają się obrazy, nakreślone przez wyobraźnię Dantę. Takich straszliwych scen nigdy chyba jeszcze nie widziała historia; proskrypcje Sulli, zburzenie Jerozolimy, nieszpory sycylijskie, noc św. Bartłomieja, pogrom magdeburski — wszystko to bladnie przed krwawą orgją zamożnej klasy Francji, orgją, którą w milczeniu albo wyraźnie pochwaliła ta klasa całego świata, która z dnia na dzień najspokojniej w świecie patrzyła na niewysłowione męki i niezliczone hekatomby istot ludzkich, poczytywanych za wrogie jej interesom klasowym; — a jednak potrafiła, z cynicznie wyrafinowaną obłudą, podnieść płacz i krzyk z powodu zabójstwa jednego arcybiskupa. W tę noc z wtorku na środek leżał w ratuszu miejskim, na pościeli z błękitnego atlasu, samotny trup, z samotną świecą woskową u wezłowania, trup, przed którym uspokoił się i zmiłkł cały rwetes i zamęt i przed którym wszyscy pochylili głowy. Był to trup Dąbrowskiego, śmiertelnie zranionego po-południu. Z samego rana przeniesiono zwłoki na cmentarz Père la Chaise. Gdy go przenoszono obok barykad, wszyscy żołnierze-federaliści oddawali mu honory. Przy lipcowej kolumnie pochód się zatrzymał, a setki gwardzistów narodowych otoczyły nosze, by spojrzeć poraz ostatni na swego pełnego poświęcenia dowódcę. Tak przeszedł ten mężny bojownik ludowy do państwa historii.

Tuilerye płonęły przez całą noc, a wraz z niemi i inne gmachy publiczne. Od samego rana w śróde odbywały się zawzięte walki przy pałacu królewskim, przy banku, giełdzie i kościele św. Eustachego. O 9-rano, w czasie, gdy kilku członków Komuny, zebra-

szy się w ratuszu, zastanawiało się nad stanem rzeczy, na dachu zabłysnął płomień, zapalony niewiadomo w jaki sposób i przez kogo. Po upływie godziny cały plac zmienił się w ogromny stos. Ponieważ ratusz został zburzony, przeniesiono wszystko do merostwa II-go okręgu. Tego dnia (24-go, środa) wyszło poraz ostatni urzędowe pismo Komuny.

Wszelkie ślady jakiejś organizacji, dyscypliny albo planu przy obronie teraz znikły. Wszędzie panowały szaleństwo rozpacz, panika i anarchja. Ludziom, usiłującym choć cokolwiek jeszcze uczynić dla planowej obrony, przeszkadzali na każdym kroku manjacy równości, tak pokrewni ciemnym umysłem sekty anarchistycznej. Oficerów, idących z ważnemi, nie cierpiącemi zwłoki, wiadomościami, tłum zatrzymywał i zmuszał do noszenia kamieni na barykadę—z krzykami „niema już teraz epoletów!” „winienes nam pomóc robić barykadę!” Oczywiście, beużytecznie byłoby dowodzić im, że t. zw. „podział pracy” jest niezbędny w każdym przedsięwzięciu publicznym. W ten sposób, wbito do trumny, w której pochowano planową obronę Paryża, jeszcze zbyt czyny gwóźdz. Tu i ówdzie zaczęto rozstrzeliwać rzeczywistych i przypuszczalnych szpiegów, i w końcu dobroduszny i cierpliwy robotnik paryski oszalał z gniewu, otrzymując wiadomości o krwawych orgjach, które się całymi dniami odbywały w zajętych przez wersalczyków dzielnicach, a które pochwalali wersalczyki, mający czelność wyrazić się przez usta Thiers'a o tej hordzie tchórzliwych zabójców, że „nasi odważni żołnierze tak się sprawują, iż wzbudzają największy dla siebie szacunek (!)”. Ażeby do pewnego stopnia usprawiedliwić mordowanie kobiet, wymyślono bajkę o t. z. podpalaczkach. Pokrewieństwo z gwardzistą narodowym, wyraz zgrozy, łza przelana po zabitym przyjaciolem — wszystko to było powodem do zabójstwa. Oficerzy i żołnierze przejawili przy mordowaniu nieprawdopodobną krwiożerczość. Gdyby ktoś chciał porównać tych łotrów z jakimiś przedstawicielami państwa zwierzęcego albo z dzikimi ludźmi, byłby niesprawiedliwy dla tych ostatnich. Byli oni ucieleśnieniami występných instynktów w człowieku ucywilizo-

wanym. Lecz oto resztki gwardji narodowej Paryża, które w ciągu dwóch ostatnich miesięcy nadstawiały policzki swym krzywdzicielom, wreszcie się opamiętały: przyszli im na myśl owi 300 zakładników, których wzięto w celu zabezpieczenia sobie tego, iż wersalczyki przestrzegają będą praw wojny. Jakkolwiek w Wersalu bez ustanku mordowano jeńców przez cały ten czas i jakkolwiek już teraz, w ciągu czterech dni, wszystkie zajęte przez armję wersalską dzielnice Paryża zamieniły się w rzeźnie, a oszpecone ciała jej ofiar — mężczyzn, kobiet i dzieci — kupami tarzały się na ulicach, niezależnie jednak od tego wszystkiego, ani włos do tej chwili nie spadł z głów zakładników. Siedzieli oni w więzieniu La Roquette, do którego ich przywieziono o dzień przedtem z Mazas. Teofil Ferré, naczelnik departamentu bezpieczeństwa publicznego, postanowił wkońcu skazać zakładników, by w ten sposób powstrzymać rzezie ze strony wersalczyków. Czy poszedł on jednak za przykładem zabójców z obozu t. zw. „porządku” i kazał rozstrzelać wszystkich 300 zakładników? Bynajmniej. Wybrał on jedynie sześciu najwybitniejszych przedstawicieli „porządku.” Rozkazał wyprowadzić ich z więzienia i stracić. Gdy powstało pytanie, kto ma wyrok wykonać, zgromadziły się naokoło dziesiątki ludzi: każdy pragnął się zemścić—za ojca, za brata, za żonę. Wreszcie, wybrano grupę z 30 osób dla wykonania wyroku. Na czworokątne podwórze więzienne wyprowadzono sześciu zakładników — arcybiskupa Darboya, przewodniczącego sądu apelacyjnego—Bonjean'a, księdza kościoła św. Magdaleny — Daguary, oraz trzech jezuitów. Przed wydaniem rozkazu strzelania, Ferré oznajmił skazańcom, że nie Komuna jest odpowiedzialna za ich śmierć, lecz ich przyjaciele — wersalczyki, którzy się stali dzikimi zwierzętami.

Tymczasem, ciągle jeszcze trwały pożary. Paliły się kościoły i teatry. Ale liczba dzielnic, w których powiewała czerwona chorągiew, stawała się coraz-to mniejsza. Wszędzie widać było — trójkolorową. Z chwilą, gdy zdobywano barykadę, zatykano na niej natychmiast trójkolorową chorągiew. Obecnie

ześrodkowała się obrona głównie w rękach Wróblewskiego, który dokładał wszystkich sił, by złączyć rozrzucone resztki obrońców — lecz napróżno. Przy Bastylji schwytano i rozstrzelano szpiegującego oficera wersalskiego. O tym wydarzeniu Thiers bezwstydnie doniósł w Wersalu, jako o „naruszeniu praw wojny”. 26-go, w piątek wieczór, przy zachodzie słońca, biedny Delescluse, napół żywy z choroby i zmęczenia, widząc, że wszystko przepadło, wyszedł z merostwa 11-go cyrkułu, przepasany szarfą, z kijem w ręku, wszedł na barykadę Château d'Eau i po chwili padł pod gradem kul. O parę godzin przedtem, wspominając czerwcowe dni 48 r., mówił on, iż nie zdoła przeżyć powtórnej klęski. Tak zmarł ten szlachetny stary rewolucjonista, w życiu i w śmierci wiernym pozostając swojemu sztandarowi. Delescluse nigdy może nie wyobrażał sobie zupełnie jasno znaczenia socjalizmu ostatnich czasów. Wszakże szlachetne jego instynkty pomogły mu w jego bezinteresownej działalności społecznej i zastąpiły brak bystrości umysłu.

XIV.

ŚMIERĆ KOMUNY.

W miarę jak obrona coraz bardziej słabła, fala zabójstw wznosiła się wciąż wyżej i wyżej. Denuncjacje sypały się ze wszystkich stron. W zajętych dzielnicach robiono prawdziwe oblawy, i każdy odpowiedni gmach był po brzegi napełniony jeńcami, których kupami wyprowadzano i rozstrzeliwano, nie raz zaś wprost zmiatano ogniem kartaczowym i chowano napół żywe ofiary. W nocy słychać było krzyki konających rannych i skaleczonych. Od piątku wieczór cała obrona ześrodkowała się w Belleville. W sobotę była mgła i deszcz, wywołane przez strzelanie. Bohaterstwo rosło wraz z beznadziejnością położenia. Barykad broniono do ostatniego człowieka. Jeden z obrońców barykad, na zapytanie dziennika-

rza angielskiego, za co on umiera, odpowiedział: „za ludzką solidarność”. Tego samego dnia schwytano Millière'a i rozstrzelano go na schodach Panteonu — na rozkaz generała Sisseya. Gwałtem chciano go zmusić paść na kolana w znak czci dla cywilizacji kapitalistycznej, na którą on napadał. Ostatni jego okrzyk brzmiał: „niech żyje ludzkość!” Millière nie brał udziału w Komunie, był zato niezmordowany w swych usiłowaniach doprowadzenia do zgody. Zresztą, podał on do wiadomości publicznej działalność Juljusza Favre'a, a był to dostateczny powód do jego zamordowania.

Bastylję zdobyto w piątek o 2-iej godzinie po południu. Pozostały jeszcze do wzięcia jedynie Belleville i La Villette. 2-gi cyrkuł uprzątnięto w czwartek o północy. Wedle warunków umowy między księciem Saskim a wersalczykami, Niemcy zmusili federalistów do odwrotu na północy i na wschodzie. W ten-to sposób rząd francuski wciągał do spisku swego oficjalnego wroga, aby tylko dobić Paryż. Duszą obrony był obecnie Ranvier, dodając obrońcom otuchy słowem i czynem. Przybywające co chwila wiadomości o krwawym okrucieństwie wampirów wersalskich, nie litujących się ani nad dziećmi, ani nad kobietami, i ciągle zdradziecko nie dotrzymujących swych przyrzeczeń, — doprowadziły obrońców barykad do szaleństwa. Wieczorem przeprowadzano 48 zakładników, duchownych i żandarmów, zamkniętych dotąd w więzieniu La Roquette, ulicą Haxo do Vincennes. Tłum domagał się, by ich stracono, grożąc nawet niektórym członkom Komuny, próbującym odroczyć wykonanie tego żądania. Jeńców rozstrzelano.

Należy wziąć pod uwagę, iż ludzie ci byli przedstawicielami zepsucia i ucisku najgorszego rodzaju ze stony państwa. Trzeba i o tym pamiętać, że przez cały ten czas byli jeńcy wersalscy wprost zamknięci w kościołach i innych miejscach, lecz że się żadnego względu na nich nadużycia nie dopuszczono. Natomiast wersalczyki rozstrzeliwali przypadkowych przechodniów, mających najdalsze choćby podobieństwo do oficerów lub członków Komuny. Raoulowi Rigault'owi nie udało się uciec. Poznano go na ulicy Gay-Lussac'a

w chwili, gdy wchodził do domu, schwytano i zaprowadzono do oficera wersalskiego, który zaczął go się dopytywać. Jedyłą odpowiedzią Rigault'a był okrzyk: „Niech żyje Komuna! Precz z zabójcami!“ Niezwłocznie oparto go o mur i rozstrzelano. Mimo wszystkie swe braki, był on o tyleż oddany rewolucji, jak i inni.

Najtragiczniejszą może śmiercią ze wszystkich wybitnych ludzi Komuny zginął Varlin. Schwytano go na ulicy Lafayette'a i zawleczono do Montmartru, ze związanemi na plecach rękoma, obsypując go gradem uderzeń i zniewag. Nadługo przed przybyciem na oznaczone miejsce był on cały skaleczony, jedna strona twarzy przeistoczyła się w nawskroś skrważoną maskę, a jedno oko było wyrwane z oczodołu. Przez ostatnią część drogi trzeba go było nieść, gdyż o własnych siłach chodzić nie mógł. Gdy przybyto na ulicę des Rosiers, wersalczyki roztrzaskali mu głowę wystrzałami swych strzelb. Varlin był młodym robotnikiem, który cały swój wolny czas poświęcał na samokształcenie; był on dobrym organizatorem i jednym z lepszych i czynniejszych członków Komuny.

W sobotę w nocy zostawała w rękach komundarów jedynie część Belleville. Niedzielny poranek z ponurym deszczem i gęstymi obłokami dymu, ujrzano kilka jeno ulic, nie zajętych przez wersalczyków. Odbywała się jeszcze z samego rana strzelanina o parę barykad, i dopiero koło południa zdobyto ostatnią barykadę na ulicy Paryskiej. Ulica ta będzie pamiętna, jako ostatnie przedmurze komundarów. Bronił jej w ciągu kwadransu jedyny tylko człowiek, wszyscy bowiem towarzysze jego już padli. Zdumiewający jest fakt, że ten ostatni bojownik uszedł z życiem. Został teraz tylko fort Vincennes—samotna pozycja zewnętrzna, lecz i ten poddał się następnego dnia, w poniedziałek 29 maja.

Komuna padła. „Porządek“ panował w Paryżu. Wszędzie spotykało się oko z dymiącemi się zwaliskami, trupami, spustoszeniem. Woda Sekwany była przy jednym brzegu czerwona od krwi. W rynsztokach płynęła krew. Drogi również były czerwone,

ne, jakgdyby ziemia paryska zamieniła się na londyńską czerwoną glinę. Roje much obsiadały kupy trupów, stada kruków przelatywały z jednej zdobyczy na drugą. Po zgnębieniu Paryża, mogli teraz zabójcy organizować rzezie na wolności. Dowiedziono, iż rzezie te obmyślono i ułożono sobie w Wersalu jeszcze przed wkroczeniem wojsk do Paryża, a zwierzęce okrucieństwa Thiers'a są same przez się wystarczające, aby to stwierdzić. Dziwne jest to tylko, że potwarcom Komuny udało się niebawem dokonać oszustwa i rozpowszechnić wśród niezdolnych do myślenia ludzi pogląd, że sama Komuna jest odpowiedzialna za wszystkie okropności jej zdławienia. Nigdy jeszcze nie udało się mordercy tak sprytnie i umiejętnie zwalić winę za własne haniebne przestępstwo na głowę niewinnej ofiary, której już śmierć zamknęła usta. Potwarz ta powstała niezwłocznie—zaraz na miejscu. Paschal Grousset opowiadał mi, że, przechodząc podwórzem, słyszał, jak kobieta pewna z malenstwem na rękę mówiła zagniewanym głosem: „tak, tak, dziecię, my już zapamiętamy Komunę, nieprawdaz?“ A działo się to przy dźwiękach wystrzałów z kartaczożnic, uśmiercających gromadami bezstronnych obecnie obrońców Komuny. Okropną jest sama myśl, że Komuna, której głównym brakiem była niewłaściwie zrozumiana łagodność i humanitarność, mogła zasłużyć na czyjekolwiek oskarżenie o to, iż stanowiła przyczynę przelewu krwi.

Miasto było teraz podzielone na cztery części wojenne pod dowództwem generałów Vinoy, Ladmirault, Sissei i Douai. W każdym ustanowiono liczne sądy, które pracowały całemi dniami, bez ustanku organizując rzezie. Majątek zabitych ludzi rabowali żołnierze. Wystarczało mieć na sobie bluzę, płakać po zabitym, powiedzieć kiedyś albo napisać choć słówko w obronie praw robotników, ażeby powiększyć liczbę skazańców i zostać rozstrzelonym. Wszędzie widać było szeregi jeńców, których prowadzono na miejsce stracenia. Największą przyjemnością rzezie sprawiała zepsutemu łotrowi bonapartyście Gallifet'owi. Niejednokrotnie cytowano artykuł korespondenta gazety „Daily News“, zawierający krwawe czyny tego

potwora, których świadkiem był sam korespondent. Gallifet rozkazał wyprowadzić jeńców z kolumny, którą mu powierzono, — kilkaset osób starych mężczyzn, kobiet i dzieci — i rozstrzelać ich następnie. W końcu zebrano wszystkich jeńców na jednym albo dwóch specjalnie dla nich przygotowanych miejscach, by się z nimi rozprawić. Te masowe rzezie trwały do 3-go czerwca, gdy je powstrzymano głównie z obawy przed dżumą i wogóle chorobami zakaźnymi, mogącymi powstać z mnóstwa trupów, których niepodobna było wszystkich od razu pochować. Do końca roku trwało trwanie osób skazanych przez nieustający trybunał, który obradował na równinie Satory, zewnątrz Paryża. A tymczasem, po wymordowaniu z zimną krwią 30 tysięcy proletariuszy, wołających o pomstę, zgromadzenie narodowe było obecne na uroczystej dziękczynnej służbie bożej z powodu przywrócenia „porządku.”

XV.

ŚWIAT CYWILIZOWANY I JEGO „DRESZCZ ZGROZY“.

Widzieliśmy, że Komuna miała pewną szczególną wadę — umiarkowanie w działaniach; widzieliśmy, że Komunie i jej stronnikom był właściwy jedyny w swoim rodzaju, nie napotykanym, być może, od początku historii w żadnej grupie ludzi, rys, iż pozwalała obchodzić się z sobą, niby z owcami, prowadzonymi na rzeź, — że posiadała wielką cierpliwość i pozbawiona była mściwości; widzieliśmy ilustrację tego w nieprawdopodobnym fakcie, że aż do ostatniej chwili, wśród masowego mordowania komunistów przez wersalczyków, pozostała nietkniętą większa część zakładników i jeńców, będąca w rękach Komuny. Widzieliśmy, z drugiej strony, że wersalczyki z Thiersem na czele, po zorganizowaniu najpierw z zimną rozważą i okrucieństwem całej krwawej orgji, uśmier-

cali codziennie wpadających im przypadkowo w ręce jeńców, słowem — świadomie ułożyli i wykonali plan przestępstwa, niesłychanego w dziejach, w zestawieniu z którym najgorsze czyny anarchistyczne są, jakby dotknięcie warg bezzębnego niemowlęcia w porównaniu z kąsaniem tygrysa. To wszystko widzieliśmy dotąd. Pozostaje nam teraz przyjrzeć się stonkowi do tych faktów cywilizowanego świata głównie w swych organach prasy, innemu słowu odnoszeniu się do wydarzeń Komuny opinii społeczeństwa burżuazyjnego. Przypuszczać należy, iż opinia ta powinna była w jakiś sposób dać ostry wyraz swym uczuciom z powodu zabójstw wersalskich. Takie jednak oczekiwania z naszej strony wykazałoby naiwne nierozumienie dróg i sposobów klasowej opinii publicznej oraz jej najemnych lokajów w prasie. Nietylko, że nigdzie nie było protestów, lecz „społeczeństwo” i jego prasa, jakby się umówiły, poczęły nie w samej tylko Francji, ale w całym „świecie cywilizowanym”, obrzucać oskarżeniami i zniewagami nie—spełniających zabójstwa wersalczyków, lecz zabijanych komunistów.

Orgja rzezi, urządzana przez wojska wersalskie, była wszędzie witana, jako świetne zwycięstwo „porządku.” „Komuna” stała się synonimem wszelakich niewysłowionych okropności. Stracenie garstki zakładników z pośród kilkuset tychże — ten jedyny akt zemsty ze strony zwolenników Komuny, stanowiło poprostu mannę niebieską dla klas burżuazyjnych, które potrzebowały jakiegoś pretekstu, żeby zapłonąć świętym oburzeniem; inaczej — byłyby zmuszone dokonywać w dalszym ciągu swych okrucieństw, jedynie z powodu stracenia bohaterów Lecomte’a i Clément-Thomas’a, których omal że nie zaliczono do świętych, albo z powodu zuchwalstwa gwardzystów narodowych, którzy się ośmielili obrazić, gdy na ulicy Pokoju „szanowni” ludzie rzucili się na nich z rewolwerami i sztyletami. Obydwa ostatnie incydenty w dostatecznym już stopniu się wytarły i spospoliciały. Co prawda, było to małej wagi, gdyż „szanujący się” świat chętnieby uwierzył we wszystko, co przemawiało przeciw Komunie, i nawet bez incydentu z zakładni-

kami nikczemność Komuny byłaby w jego oczach również wielka.

Niemniej jednak stracenie zakładników było wybornym pretekstem, by dać wyraz swej „zgrozie” i „oburzeniu”, składając przez to świadectwo, iż zostały zdrażnione interesy klasowe. Zabito arcybiskupa! Nie poprostu człowieka, nawet nie księdza, nawet nie biskupa, ale arcybiskupa! Czy to naprawdę nie potrafi wywołać „dreszczu”? Cóż to kogo obchodzi, że on był zakładnikiem za życie 10 tysięcy niewinnych, przedtem jeszcze rozstrzelanych, w ich liczbie—i dzieci! Na wiadomość o ich zamordowaniu „świat cywilizowany” nie doznał najmniejszych oznak tego „dreszczu zgrozy i oburzenia,” który niechybnie ogarnia go zu każdym razem, gdy zostaje zabity ktoś z przedstawicieli jego klasy.

Gdy się zbada pochodzenie tego „dreszczu zgrozy,” stanie się niezawodnym, iż wypływa on z obaw burżua o istniejący porządek społeczny, któremu grożą zachodzące wydarzenia. Zabójstwa, dokonane na żołnierzach przez oficerów, wystrzały ze strony wartowników w bezbronnych przechodniów stanowią dla burżua wprost nieszczęśliwe wypadki „dyscypliny wojennej, rzecz niezbędną do istnienia współczesnego państwa biurokratycznego.

Dopiero w następstwie zrozumiałem cały sens i wartość owych łez krokodylich i wycia z powodu śmierci garstki zakładników, zrozumiałem, że był to środek do tego, by zagłuszyć odhywające się w milczeniu nawoływanie do pomszczenia tysięcy zabitych robotników, których zamordowanie doprowadziło do zgładzenia zakładników.

Ten „dreszcz zgrozy” w różnych swych postaciach stanowi jedną z głównych właściwości reakcji, zapomocą której usiłuje ona ogłupić opinię publiczną, co też czyniła do tej chwili z wielkim, niestety, powodzeniem. Gazety zapewniają publiczność, że doznaje ona „dreszczu zgrozy”, i powtarzają to tak długo, aż publiczność w końcu zaczyna myśleć, że go istotnie doznaje; a dziennikarz tymczasem śmieje się do rozpuku. Uwagi te są zwłaszcza na miejscu z powodu roztrząsanej przez nas kwestji, nigdy jeszcze bo-

wiem nie robiły klasy rządzące szerszej i bardziej udatnej próby ukrycia swego własnego wstrętnego przestępstwa przez zwalenie całej okropnej hańby na swe ofiary, — jak to się właśnie działo z sądami „świata cywilizowanego” o paryskiej Komunie.

XVI.

ZAKŁADNICY.

Dla każdego nieuprzedzonego umysłu jest całym oczywiste, iż w całej historii niema stracenia, któreby się dało w tej mierze usprawiedliwić, jak stracenie zakładników przez doprowadzonych do rozpacz stronników Komuny. O tym wszystkim doskonale wiedzieli dostawcy uczuć społecznych po niskiej cenie, wszakże władca ich — interes klasowy burżuazji — wymagał, jakżeśmy widzieli, by oni sami i wszyscy prawdziwi burżua spoglądali na ten akt sprawiedliwej i, jeżeli mierzyć ich własną skalą, w przybliżeniu nawet nie równej zemsty, —jako na niewysłowione okrucieństwo. Co się zaś tyczy argumentu, iż osobiście zakładnicy nie mieli najmniejszej winy, powinni byli burżua pamiętać o tym wtedy, gdy w czasie wojny niemieckiej władze wojenne napowrót zaprowadziły zwyczaj brania zakładników, w celu zabezpieczenia sobie dobrego sprawowania się nieprzyjaciela. O ile mi wiadomo świadomość tego, iż rozstrzelano niewinnych obywateli francuskich za czyny ich współobywateli, odzianych w mundur narodowy, nie wywoływała nigdy szczególnego protestu ze strony wrażliwej sumiennosci klasy średniej lub jego prasy. Poza tym, ja osobiście nie dostrzegam pogwałcenia zasad sprawiedliwości w tym, iż w czasie wojny — oficjalnych przedstawicieli nieprzyjaciela rozważa się i utożsamia z partją, do której oni należą. Toć to jedynie wynik logiczny zajmowanego przez nich stanowiska. Taki był również punkt widzenia, jawnie przyjęty przez niemieckie władze wojenne, z królem Prus, później-

szym cesarzem Wilhelmem, na czele, a milcząco uznany również przez klasę średnią całego świata przy ocenie wypadku z zakładnikami ze stanowiska zasady prawniczej. Większość zakładników—arcybiskup Darboy, przewodniczący sądu kasacyjnego Bonjean, poważny finansista Jecker i żandarmi byli istotnymi „przedstawicielami wroga”: kościoła, państwa, policji i kapitalizmu w ich najbardziej agresywnych przejawach. Zresztą, niema pogo nawet mówić o tym. Ludzie, którzy najwięcej biadali, doskonale wiedzieli, iż czynności Komuny są zupełnie usprawiedliwione; typowy wszakże burzua jest, na mocy swych tradycji i interesu klasowego, obowiązany utrzymywać, że Komuna nie miała słuszności, a będzie on uparcie obstawał przy swoim, niezależnie od wszelkich faktów, dowodzących czegoś przeciwnego. Pod tym względem słaba Komuna występnie otworzyła wersalczykom wolny kredyt na wymordowanie tysięcy swych stronników. Wówczas dopiero, gdy liczba ich doszła do dziesiątków tysięcy, niektórzy komunardzi dopuścili się takiego „bezprawia,” iż usiłowali powstrzymać rzezie przez rozstrzelanie kilku dziesiątków zakładników. Widocznie klasa średnia sądzi, że jej organy rządzące powinny stale korzystać z nieograniczonego i wyłącznego monopolu na zabójstwa w stosunku do swych przeciwników. Wymaganie tego rodzaju jest trochę za wielkie nawet dla klasy rządzącej.

Zresztą, fakty dowodzą, że wersalczyki nietylko byli zupełnie obojętni dla losu tych drogocennych zakładników, z powodu których śmierci „świat cywilizowany” (czytaj: klasy panujące) podniósł taki wstrętny krzyk, lecz że niektórzy z nich woleli nawet takie rozwiązanie sprawy. Tak np., gdy zwrócono Barthélemy St. Hilaire, sekretarzowi Thiers’a, uwagę na grożące zakładnikom niebezpieczeństwo, odpowiedział on cynicznie: „my nic tutaj uczynić nie możemy — tym gorzej dla nich!”

Thiers umyślnie odrzucił propozycję zamiany pięciu zakładników — w ich liczbie najświętszego arcybiskupa — na jednego tylko Blanqui’ego. Przyczynili się może do tego poczęści mający znaczny wpływ

na zgromadzenie katolicy-ultramontanie, dla których Darboy, jako galikanin, t. j. zwolennik niezawisłości duchowieństwa francuskiego w stosunku do uroszczeń papieskich, bynajmniej nie był sympatyczną osobistością. Dzięki jego śmierci, mogli oni odrazu dopiąć dwóch celów: mieć nowego męczennika chrześcijańskiego, tudzież otrzymać, być może, dla kogoś ze swych sterników intratną eparchję paryską. Rokowania ze strony zakładników były prowadzone za pośrednictwem Lagarde’a, głównego wikariusza Darboy. Tchórzliwy ten nicpoń, który dał słowo honoru i przysiągł na wszystkie świętości, że wróci, „nawet gdyby wypadło być rozstrzelanym”, — widząc, iż rokowania doznały niepowodzenia, a dbając tylko o własną skórę, zdecydował się pozostawić ich na łasce losu. Nie miał on zamiaru powrócić do nich. Sam Darboy, dowiedziawszy się o postanowieniu Lagarde’a, nie dawał temu wiary. „To niemożliwe — rzekł on — przecież p. Lagarde sam przysięgał mi, że z pewnością wróci”. Prośby i nalegania starego prałata nic nie wskórały, Lagarde nie chciał powrócić. Że wersalczyki koniecznie poczytywać zaczęli śmierć zakładników za bardzo wygodną w charakterze pretekstu, by przysłonić swe plany krwiożercze, i że się przeto umyślnie uchylali od ich uwolnienia, — oczywiste się staje z faktu, że, będąc panami wszystkich prawie ulic, prowadzących do więzienia La Roquette, już o 12-cie godzin przed straceniem, — nie przedsiębrali oni jednak żadnych prób dostania się do gmachu więziennego.

Akty zemsty wersalczyków, jakieśmy już zaznaczyli, trwały do końca roku. Ferré — spotwarzony, oskarżony i błotem obryzany przez gazeciarskich lokajów kapitalizmu — zmarł 28 listopada, jako komunista, ateista i bohater. Rossel, obryzany przez tych samych lokajów dziennikarskich, którzy poznali w nim jednego ze swoich: rokującego piękne nadzieje młodego człowieka z klasy średniej, -- był rozstrzelany razem z Ferré, oszukawszy i oczerniwszy poprzednio Komunę, w nadziei zaskarżenia sobie łaski posiadających władzę. Zginął on, jako burzua, chrześcijanin i tchórz. Lecz jakkolwiek nieustanny szereg zabójstw

na wyrok sądu osłabił w końcu 1871 roku, nie należy jednakże sądzić, że nadszedł już zupełny jego kres. Jeszcze w ciągu 1872 r. dokonano kilku „straceń“ na równinie Satory, ostatni zaś trzej ludzie, rozstrzelani za udział w Komunie, zginęli dopiero 22 stycznia 1873 roku. Wszystkie te nieszczęśliwe ofiary zamordowano na zasadzie „oczywistych dowodów“, po odegraniu komedji sądu nad niemi, który wywołałby śmiech w pierwszym-lepszym sądzie angielskim; po większej części skazywano ich za udział w wydarzeniach, z którymi mieli nie większą styczność, niż ty, czytelniku tej książki. Wszelkie zeznania przekupionych świadków, wszelkie oszczerstwa, choć najniedorzeczniejsze, wyłapiały natychmiast sądy wojenne i prasa. Nie zadawałnając się zabójstwami, burżuazja francuska była dość nikczemna, aby niejednokrotnie oczerniać honor swych ofiar nędznemi insynuacjami, których nie starała się nawet dowieść. Ustanowiono komisję zabójców w postaci t. zw. komisji ułaskawień, w której skład wchodziłi zdeklarowani reakjoniści, a której obowiązki polegały na zatwierdzaniu wyroków sądów wojennych. Przypomnieć należy, iż zabójstwa te spełniano nie w szale walki, ani też bezpośrednio po zwycięstwie, lecz—że trwały bez przerwy w ciągu sześciu miesięcy, sporadycznie zaś—przeszło rok cały. A tych samych ludzi, którzy witali albo, co najmniej, tolerowali bez protestu wszystkie te okropności, przejmuje zgrozą—zepsucie Vaillant'a lub Caserial!

BIBLIOTEKA

WYDZIAŁ HISTORII I GEOGRAFII

W KRAKOWIE

XVII.

NAUKI, UDZIELONE PRZEZ KOMUNĘ.

Pierwsza ogólna nauka, której udzielił upadek Komuny 1871 roku, polega na wskazaniu, że jest niezbędnie konieczna organizacja zwartej grupy uświadomionych proletariuszy i socjalistów, dobrze się wza-

jemnie znających, posiadających zupełnie określone poglądy, rozumiejących, czego im potrzeba, oraz mających zawsze dokładne pojęcie o tym, co im czynić należy w każdej danej chwili krytycznej. Gdyby w Paryżu w lutym i w marcu 1871 roku była taka grupa ludzi, tedy dalszy bieg wydarzeń mógłby być zupełnie inny. Wskutek różnorodności żywiołów, wchodzących w skład komitetu centralnego, przeważyły oddzielne grupy, a każda nieuczciwa albo niezdolna jednostka (w rodzaju Lullier'a), która trochę bodaj zabrała się do roboty, mogła pozyskać wpływ, fatalny w chwilach krytycznych.

Ani Komuna, ani Komitet nie rozumiały nigdy jak doniosłą rzeczą jest przy wybieraniu ludzi kierować się nie samą tylko ich własną oceną. Gdyby Komitet nie zaufał Lullier'owi, lecz sam-by się przekonał co do zajęcia Mont Valérien, unikniętoby w takim razie jednego z poważnych błędów wojennych. Gdyby na czele powstania 18 marca znajdowała się kierownicza grupa ludzi, zamkniętoby niezwłocznie bramy Paryża i nigdyby się już nie udało rozgromionych wojskom wymknąć się między palcami rewolucji i utworzyć rdzeń armji wersalskiej. Ministrów, oficerów—słowem, wszystkie władze wojskowe i cywilne aresztowanoby jednocześnie i rozpoczętoby natychmiast przygotowania do sądenia winowajców.—Na zgromadzenie narodowe i rząd spadała wina za przestępstwo nawet ze zwyczajnego punktu widzenia. Pogwałciły one warunki, na których je wybrano, pełnomocnictwa ich bowiem ograniczały się jedynie do prawa zatwierdzenia warunków pokoju, a następnie winny były zwrócić się do kraju z zapytaniem co do formy konstytucji. Miast tego, wzięły one faktycznie na siebie pełnomocnictwa zgromadzenia konstytuującego z jawnym celem stłumienia wszelkich republikańskich, demokratycznych i socjalistycznych dążeń w całej Francji, a w szczególności chciały zadać cios Paryżowi, który uważały za główne centrum tych dążeń; innemi słowy—były zdrajcami kraju.

Na wodza swego, na głowę władzy wykonawczej wybrały one Ludwika Adolfa Thiers'a—być może, jednego z najbystrzejszych, najobłudniejszych i naj-

bardziej bezwstydnym łotrów, jakich kiedykolwiek znała historia. Jakiś już zaznaczyli w III-im rozdziale, pozwolono—naskutek nieuwagi komitetu centralnego — kierownikowi spisku monarchicznego w Wersalu wymknąć się wraz z ministrami, zamiast go aresztować 18 marca. Gdyby go schwytano i oddano pod sąd wraz z pozostałymi, wówczas skazanoby wszystkich, a groźba stracenia ich powstrzymałaby nadciągające wydarzenia. Miałyby wówczas Komuna istotnych zakładników. Toć wersalczyki dobrzeby się namyślić musieli przed zabraniem się do mordowania jeńców, gdyby byli przekonani, że odpowiednią na pierwszy podobny krok byłaby natychmiastowa śmierć, dajmy na to, Thiers'a. Komuna pragnęła, by wojna była prowadzona na zasadach humanitarnych. Chęć ta jest sama przez się piękna, trzeba jednak, aby się na to zgodziły obie wojujące z sobą strony. To też Komunie poczytywać to należy za grzeszną słabość, iż nie zastosowała swego sposobu postępowania do okoliczności, że wersalczyki postanowili zachowywać się, jak dzikie zwierzęta. Najlepszym wszakże zakładnikiem dla Komuny był bank francuski. Jak słusznie zaznacza Lissagaray, bank, przechowywane w nim spisy deponentów oraz wszelkiego rodzaju fundusze były najslabszemi stronami burżuazji. Gdyby Komuna albo komitet zabrały bank z jego miljonami oraz spisami 90 tysięcy deponentów z całej Francji, musieliby się wersalczyki poddać. Tymczasem Komuna posłuchała starego Beslay'a, który, ze swej strony, stał się znów narzędziem w rękę De Ploeuca, wicedyrektora banku; w rezultacie zaś okazało się, iż znajdujące się w rozporządzeniu Komuny znaczne środki finansowe—zostały nietknięte.

Nikt z uczestników rewolucji, o których mówiliśmy, nie doceniał widocznie reguły francuskiej: „na wojnie, jak na wojnie”; a zniewieściałość we wszystkim, co dotyczyło położenia ręki na własności albo osobie przeciwników, przyczyniła się do niepowodzenia sprawy. Nikt nie ocenił słusznie zasadniczych prawdeł etyki powstania, głoszących, iż wszelka administracja, którą stworzyło powstanie i która się na mocy tego faktu zatwierdziła (z punktu widzenia po-

wstania), staje się jedynym prawowitym zbiornikiem władzy na cały ten czas, że natomiast rząd, przeciw któremu skierowano powstanie, staje się władzą „buntowniczą”, którą możliwie prędko zgnieść należy. Zgromadzenie i ministrowie byli buntownikami; nie trzeba było zawiązywać z nimi układów, ale ich wytepić. Miast prowadzić rokowania, powinien był komitet od razu, korzystając z wszystkich sił gwardzystów narodowych, napaść na słaby jeszcze wówczas Wersal i rozproszyć zgromadzenia narodowe. Była to jedyna rozumna taktyka po pierwszym błędzie, polegającym na tym, iż pozwolono umknąć ministrom i armji. Komuna, zamiast tego, straciła całe dwa tygodnie na bezowocne próby układów z wersalczykami, którzy najchętniej prowadzili je do chwili, aż nie zorganizowali swych sił wojennych i nie zawarli ugody z niemieckimi władzami wojennymi co do szybkiego uwolnienia jeńców. O pozostałych błędach mówiliśmy już, opisując obronę Paryża.

Jednym z nieszczęśliwych rysów charakteru wszystkich wodzów Komuny była ich wrażliwość w stosunku do burżuazyjnej opinii publicznej. Pierwszą rzeczą, której się nauczyć powinien wódz ruchu, to — zdrowe lekceważenie oficjalnej opinii publicznej „świata cywilizowanego”. Musi on z całą stanowczością zahartować swe serce na jego „dreszcze zgrozy”, „niechęć”, „oburzenie lub „wstręt”, musi się nauczyć uśmiechem witać wszystkie nazwy, któremi „świat” tak hojnie obsypywać będzie jego sprawę.

Aby zgnieść siłę przedstawicieli ustanowionego porządku w prasie i na trybunie, trzeba mieć koniecznie silną prasę partyjną, któraby sprawiedliwie oświetlała sprawy przed mieszaną częścią opinii publicznej — z wahającemi się poglądami lub zupełnie bez określonych poglądów; ta ostatnia, jako że sama nie zastanawia się nad faktami, przyjmuje na wiarę zapatrywania, które się często powtarzały, nie napotykać stanowczo i otwarcie wyrażonego przeciwnego zdania. Umyślne przekreślenie faktów i potworne sądy gazet burżuazyjnych o Komunie, były nazbyt widoczne, by kogokolwiek mogły oszukać, nawet człowieka z najprostszym zdrowym rozsądkiem, — działało

się to jednak, gdyż nie było odpowiedniej prasy, która by je w słuszny sposób wyjaśniła.

Jakkolwiek się jednak klasom panującym, dzięki ich władzy i bogactwu, na pewien czas udaje skazić prawdę, więcej uczynić nie potrafią. Proletariat, uświadomiwszy sobie swe interesy klasowe i wiedząc, z czym one są związane, nie zapomni pionierów w walce o wolność. 18-y marca stał się już na całym świecie jednym z wielkich dni w kalendarzu socjalistów. Dziwne jest nie to, że klasa kapitalistów, posiadająca monopol na wszelkie organy opinii publicznej, całą prasę, każdą salę i miejsce do zgromadzeń, potrafiła zagłuszyć głos prawdy i sprawiedliwości swym zachwałym wrzaskiem, — lecz to jest dziwne, że, mimo cały ten krzyk oraz mimo brak w owym czasie prasy socjalistycznej, o którejby warto mówić, — istotne znaczenie Komuny i prawdziwie oddane fakty z jej życia jednakże ujrzały światło dzienne. Stało się to jednak w ten sposób. Znalazło się kilku uczciwych ludzi z klasy średniej, którzy, niewiele dbając o samą Komunę i nie współczując z jej celami, odmówili wszakże przyłączenia się do spisku, uknutego w celu oczernienia Komuny, i mówili prawdę o wszystkim, co widzieli i słyszeli w Paryżu w czasie panowania tam proletariatu, dając świadectwo szlachetnej bezinteresowności obrońców Komuny, nizkości zaś — ich prześladowców.

Historja Komuny pokazała wogóle, iż ostatecznym miernikiem opinii „świata cywilizowanego“, wyrażanej przez kierowniczych pisarzy w poważnych organach prasy oraz przez mówców na trybunach zgromadzeń, — czy to chodzi o ich sądy moralne, polityczne albo społeczne, i niezależnie od pozornej różnicy i rozmaitości, — że miernikiem takim są zawsze rzeczywiste lub urojone interesy panującej klasy kapitalistów.

Spis rzeczy.

	Str.
Przedmowa	3
I. Wstęp	5
II. Prolog	9
III 18-ty marca	12
IV. Komitet centralny i reakcja	17
V. Wybory do Komuny	21
VI. Nieudany dla Komuny początek wojny	25
VII. Z powodu różnych kwestji	28
VIII. Wewnętrzna działalność administracyjna i polityka Komuny	32
IX. Wolni mularze, komitet ocalenia publicznego i Rosel	37
X. Ostatnie dni Paryża	41
XI. Wkroczenie wersalczyków	45
XII. Barykady	49
XIII. „Komuna lub śmierć”	53
XIV. Śmierć Komuny	56
XV. Świat cywilizowany i jego „dreszcz zgrozy”	60
XVI. Zakładnicy	63
XVII. Nauki, udzielone przez Komunę	66

SPROSTOWANIE.

Na str. 24 w. 15 od dołu — (zam. Thiers'em) pow. być: Theiss'em.

